



JEZUICI NASZE
WIADOMOŚCI

Redaguje zespół: Waldemar Aramowicz SJ, Marek Blaza SJ (*red. naczelny*),
Grzegorz Jankowski SJ, Robert Janusz SJ (*DTP*), Krzysztof Mądel SJ (*opr.*
graficzne), Marek Majczyna SJ, Piotr Samerek SJ, o. Stanisław Ziemiański SJ

Adres redakcji:

ul. Kopernika 26
31-501 Kraków
tel.: 21-31-55

Za zezwoleniem władzy zakonnej
Do użytku wewnętrznego

Druk:

Drukarnia WAM Księży Jezuitów w Krakowie

Na okładce: br. Angelo Pivaeu SJ w szkole agrarnej Bewalala w Tananariwa
(Madagaskar)



JEZUICI

NASZE
WIADOMOSCI

12 czerwiec 1993

SPIS TREŚCI

- Od redakcji 3
-
- Powołanie braci w Towarzystwie: *Bez świadectwa braci nie byłoby Towarzystwa*** 4
- Egzorta mówiąca o powołaniu braci w Towarzystwie Jezusowym oparta na tekstach św. Ignacego oraz wypowiedziach Ojca Generała podczas Jego wizyty w Polsce w 1989 roku.
-
- Bracia mówią o sobie i swojej pracy...**
- Sylwester Wojdyła SJ*
Troska o jedność i wzajemne zrozumienie, 8
o posłudze brata infirmary w Kolegium warszawskim.
-
- Krystian Knosala SJ*
Poszerzanie horyzontów, 11
o pracy brata drukarza w Wydawnictwie Apostolstwa Modlitwy.
-
- Emmanuel Tirivanhu SJ*
Brat duszpasterz. Codziennosc w ubogiej parafii w Mbare-Harare, 12
o posłudze duszpasterskiej w afrykańskiej parafii.

Edmund Sobkowiak SJ
Ażeby Edziu był zakonnikiem, 15
na wesoło o początkach zakonnego powołania opowiada pełen
humoru brat z Kolegium gdyńskiego (część pierwsza).

Giorgio Mascherpa
Męka Chrystusa według brata Venzo, 19
o nowym i bardzo oryginalnym spojrzeniu na Ukrzyżowanego
w dziełach artystycznych.

Fergus O'Donoghue SJ
Błogosławiony Dominik Collins SJ, 23
o nowym błogosławionym bracie z Towarzystwa Jezusowego.

Edmund Sobkowiak SJ
Smutny święty, to co to za święty, 26
jak to było w czasie wojny - groźnie czy wesoło? Druga część
wspomnień brata Sobkowiaka.

Rumuńskie migawki, 30
wywiad z O. Tadeuszem Rostworowskim SJ, który od sierpnia
1992 roku pracuje jako misjonarz w Rumunii.

Stanisław Pacholik SJ
**Ministranci i schola - młodzi misjonarze w kraju, gdzie można
teraz wierzyć,** 35
relacja z wyjazdu młodzieży na teren Białorusi podczas
ostatnich ferii zimowych.

Stanisław Pomykała SJ
To jest moje powołanie, 39
o sytuacji religijnej w Rosji opowiada były redaktor sekcji
polskiej Radia Watykańskiego, dziś misjonarz w Nowosybirsku.

Informacje 43

OD REDAKCJI

W tym numerze pragniemy przybliżyć Czytelnikom specyfikę powołania brata zakonnego i zadania, jakie Towarzystwo stawiało mu kiedyś i obecnie.

Po zakończeniu nowicjatu, brat zakonny należy do tzw. junioratu, spełniając już wtedy różnorakie posługi, ewentualnie zdobywając jeszcze jakieś potrzebne do pracy kwalifikacje. Po około 10 latach od wstąpienia, po tzw. Trzeciej Probacji, czyli Trzeciej Próbie mającej poniekąd charakter drugiego nowicjatu, brat zakonny składa uroczyste śluby, które wieńczą okres formacji zakonnej.

O specyfice tego powołania mówi egzorta rozpoczynająca ten numer *Jezuici - Nasze Wiadomości*. Pozostałe artykuły są relacjami bądź świadectwami konkretnych braci. Dotyczą one ich powołania, ich życia codziennego. Pochodzą one nawet z różnych epok i krajów.

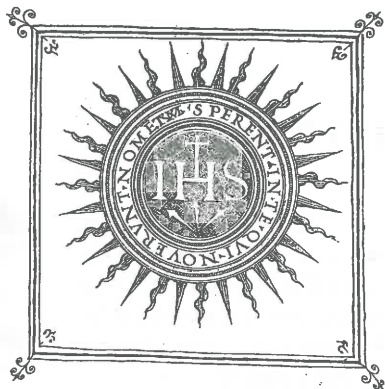
Ponadto zamieszczamy sprawozdania z trzech krajów postkomunistycznych: Rumunii, Białorusi oraz Rosji, gdzie następuje obecnie wielkie odrodzenie religijne.

Wszystkich Czytelników zapraszamy do podzielenia się z nami swoimi ewentualnymi spostrzeżeniami czy nawet uwagami dotyczącymi naszego pisma.



Kraków, czerwiec 1993 r.

POWOŁANIE BRATA W TOWARZYSTWIE: BEZ ŚWIADECTWA ŻYCIA BRACI NIE BYŁOBY TOWARZYSTWA



Kilka razy w roku w Kolegium Krakowskim wygłaszane są do wszystkich jezuitów Prowincji egzorty, czyli rodzaj homilii. Jedna z nich została odczytana w Krakowie w marcu 1989 r. i dotyczyła problemu powołania braci zakonnych do Towarzystwa Jezusowego. Poniżej przedstawiamy fragmenty tej egzorty.

Każdy z nas jest inny od wszystkich pozostałych. Różnimy się między sobą wiekiem, pochodzeniem, wykształceniem, charakterem, wykonywaną pracą, a nawet wyrobieniem duchowym. Tych różnic jest oczywiście jeszcze o wiele więcej. Łączy nas tylko jedno: POWOŁANIE. To, że tutaj jesteśmy, że nazywamy się współbraćmi jest konsekwencją faktu, że na każdego z nas Bóg spojrział z miłością i że każdym zechciał posługiwać się w Towarzystwie Jezusowym. W ten sposób ludzie, którzy żyjąc w świecie zapewne nigdy by się ze sobą nie spotkali, obdarzeni tym samym powołaniem, stają się braćmi. W Chrystusie stanowimy jedność. (...)

Ojciec General Peter-Hans Kolvenbach SJ w czasie wizyty w Polsce w maju 1988 r. zapytany, dlaczego nie było jakiegoś specjalnego spotkania z braćmi, odpowiedział krótko: „Nie przyjechałem do jakiejś grupy czy kategorii jezuitów w Polsce, ale pragnąłem spotkać wszystkich współbraci, którzy tutaj pracują na większą chwałę Boga”. (...) O jedności naszego powołania w Towarzystwie bardzo wyraźnie wypowiada się św. Ignacy w *Konstytucjach*: „Towarzystwo w najszerszym tego słowa znaczeniu obejmuje wszystkich, którzy żyją w posłuszeństwie przełożonemu generalnemu i którzy mają postanowienie żyć i umierać w Towarzystwie” (511). Ta przynależność do jednego ciała Towarzystwa, wszystkim jego członkom daje też możliwość uczestnictwa w zasługach i łaskach zakonu. O tym też mówi św. Ignacy w *Konstytucjach*: „Kto znajduje się w którejkolwiek kategorii przynależności do Towarzystwa, jest zdolny do uczestniczenia w łaskach

duchowych, których na większą chwałę Boga może w nim udzielać przełożony generalny według przyznania ze strony Stolicy Apostolskiej” (511). A dotyczy to nie tylko przywilejów na czas ziemskiego życia, lecz również łask na wieczność. (...)

Ta jedność powołania w niczym jednak nie przekreśla potrzeby różnorodności zadań, do jakich jesteśmy powołani w Towarzystwie. I na to zwrócił uwagę o. Generał w Polsce: „Św. Ignacy - mówił - był bardzo wrażliwy na punkcie przeżywania osobistego powołania. Miał on zrozumienie dla różnorodności. Różnorodność nie oznaczała dla niego słabości, lecz stanowiła bogactwo. Pragnął on, by to intymne braterstwo ojców i braci - było bogactwem Towarzystwa. I my dzisiaj powinniśmy być naprawdę uważni, by nie zagubić tego bogactwa”. Aby więc bracia mogli być naprawdę uważani za bogactwo naszego Towarzystwa, trzeba, by odznaczeni się pewnymi szczególnymi cnotami. Św. Ignacy wzywa do nich w ten sposób: „Mówiąc już w szczególności o przyjmowaniu na koadiutorów do zajmowania się sprawami doczesnymi i zewnętrznymi, powinni to być ludzie odznaczający się takimi zaletami duszy: dobrym sumieniem, spokojem, uległością, umiłowaniem cnoty i doskonałości tak dla domowników, jak i dla osób z zewnątrz, zadowoleni z losu Marty w Towarzystwie, dobrze usposobieni do jego Instytutu i pragnący wspierać je dla chwały Bożej” (148). Oprócz tych duchowych zalet, bracia, aby móc jak najwierniej wypełnić swoją misję w Towarzystwie, powinni się też odznaczać pewnymi koniecznymi warunkami fizycznymi. Te również podkreślił św. Ignacy w *Konstytucjach*: „Co zaś dotyczy przymiotów zewnętrznych, winni się odznaczać miłą powierzchownością, zdrowiem, wiekiem i siłą do znoszenia prac fizycznych, z którymi się spotykają w Towarzystwie. Winni też posiadać uzdolnienia przydatne do wspomagania Towarzystwa lub przynajmniej budzić nadzieję, że kiedyś je mieć będą” (151).

Wytworzył się chyba jakiś błędny pogląd, że powołanie brata jest jakimś mniejszym, mniej wartościowym od powołania kapłańskiego w Towarzystwie. (...) Brat zakonny po prostu spełnia inną, niekapłańską misję w tym samym Towarzystwie Jezusowym. O. Generał stwierdził w Krakowie w maju 1988 r., że „św. Ignacy chciał mieć ludzi, którzy mówiliby: »ja mogę zostać kapłanem, lecz jeśli Pan chce bym został bratem, ja jestem gotów«. I wszędzie na świecie Towarzystwo zna takich braci zdolnych, ale których Pan powołał do tej szczególnej posługi brata w jednym powołaniu i misji”. (...) Wydaje się, że sensu życia należy szukać w jego celu. Celem tym dla brata powołanego do służby Bogu w Towarzystwie Jezusowym „jest konieczność wspierania pracujących w winnicy Chrystusa Pana lub oddających się studiom” (149). Nasza formacja powinna między innymi prowadzić do tego odczucia jedności powołania w wielości i różnorodności zadań. O tym

również mówił o. General: „dla formacji dzisiaj powinno być rzeczą jasną, że ojcowie i bracia, scholastycy i bracia są rzeczywiście towarzyszami w Panu, i że wszyscy otrzymali to wszystko, co jest niezbędne w ich powołaniu, by dać z siebie to, co mają najlepszego dla posługi w Kościele”... (...)

W naszym zakonie jest dzisiaj około 1200 nowicjuszy, w tym tylko 60 braci. Jeden z młodych braci zapytał o. Generała, dlaczego dziś tak mało jest powołań na braci? Otrzymał odpowiedź bardzo konkretną: „Wielu biskupów i księży diecezjalnych faktycznie nie rozumie życia zakonnego. Często mówią, że zakonnicy są »wolnymi strzelcami«. Myślą oni: oto my wykonujemy pracę, a zakonnicy gdzie są?” O. General stara się wyjaśnić tę trudność, która oczywiście jest bardziej problemem mentalności kleru diecezjalnego niż obiektywną trudnością. Otóż, według o. Generała: „zakonnicy są dani przez Ducha Św. Kościołowi i mają do spełnienia specjalną misję. Jeśli np. Kościół zapomniał o biednych z Kalkuty, to Pan inspiruje Matkę Teresę, która założyła zakon dla tych ubogich. Podobnie powołanie brata jest naprawdę koniecznością, którą Duch św. dał Kościołowi; przeżywać jako zakonnicy życie każdego dnia z tym wszystkim, co ten dzień przynosi: z obowiązkami, pracą i zadaniami. To prawda, że dzisiaj w wielu częściach świata brakuje biskupom kapłanów. Np. w Ameryce Południowej są obszary, na których na jednego księdza przypada 300 tys. wiernych. Są miejscowości, w których Eucharystia jest sprawowana raz w roku. To tłumaczy, dlaczego wielu biskupów myśli tylko o powołaniach kapłańskich. Ale także pokazuje, iż zrozumienie powołania brata zakonnego znajduje się na pewno w kryzysie”. Oczywiście nie jest to jedyna racja mniejszej troski o powołania na braci niż na kapłanów. Jest też druga strona tego medalu, można powiedzieć: pozytywna. O niej również mówi o. General: „Z drugiej strony, istnieją takie obszary na świecie - a myślę w tej chwili o Indiach - gdzie biskupi proszą o braci, a nie o kapłanów. Tam bracia mogą oddać Kościołowi przysługę, której nie mogą wypełnić kapłani”. Trzeba by więc chyba pytać, jakie myślenie przeważa w Polsce? (...) Ludziom trzeba świadectwa żywych ludzi, że dla Boga warto porzucić wszystko: ojca i matkę, pole i sieni, żonę i dzieci. A czy my sami wierzymy, że Bóg powołuje naszych braci najpierw dla tego świadectwa w Kościele, a dopiero potem dla pewnych konkretnych zadań?

O. General wielokrotnie powtarzał, że nasz zakon bez braci, nie byłby prawdziwie Towarzystwem Jezusowym. Wyznał, że tą troską podzielił się również z Ojcem św.: prosiliśmy, by Ojciec św. nie mówił tylko o kapłanach, świeckich i zakonnicach, ale również o braciach, i by uczulił na ten problem, który jest sprawą całego Kościoła, i by polecił ten problem modlitwie wszystkich i staraniom każdego. (...)

W moim życiu zakonnym spotkałem wielu wspaniałych, świętych braci, od których wiele się nauczyłem, przede wszystkim zaś szczerego umiłowania

Towarzystwa. Słowa pociechy i umocnienia usłyszane od braci, którzy nieraz mieli dwa razy tyle lat życia w zakonie niż ja w ogóle, brzmiały mi w sercu do dzisiaj. To ci bracia, którzy wzięli na serio słowa *Konstytucji*: „Bracia powinni także w rozmowach dotyczących spraw ducha starać się o to, by przyczynić się do większego pożytku duchowego bliźnich i uczyć ich tego, co sami umieją, oraz zachęcać do dobrego życia, kogo tylko będą mogli, ponieważ każdemu Bóg zlecił staranie o swego bliźniego” (115).

Na podst. tekstu egzorty br. Marka Pietrasa SJ i o. Jerzego Sermaka SJ - opr. Waldemar Aramowicz SJ.

TROSKA O JEDNOŚĆ I WZAJEMNE ZROZUMIENIE



Br. Sylwester Wojdyła SJ w poniższym świadectwie przedstawia drogę swojego powołania zakonnego oraz własne apostołstwo, szczególnie w infirmerii, czyli specjalnej części domu zakonnego, którą zamieszkuje starsi i chorzy jezuici wymagający stałej oraz troskliwej opieki.

*Będę głosił imię Twoje swym braciom
i chwalić Cię będę pośród zgromadzenia.
(Ps 22, 23)*

Tymi słowami psalmu 22 pragnę rozpocząć swoje krótkie opowiadanie. Chcę się podzielić swoimi spostrzeżeniami i przeżyciami w drodze, która doprowadziła mnie do służby w Towarzystwie Jezusowym, służby Bogu i bliźnim jako brat zakonny.

Pierwszy kontakt z braćmi zakonnymi miałem w rodzinnym Piotrkowie Trybunalskim, w którym znajduje się kościół i placówka naszego zakonu.

Przez okres kilkunastu lat mojego dorastania w wieku szkolnym, miałem wiele okazji, aby przyglądać się z bliska życiu zakonnemu braci. Widziałem ich przy wielu posługach, przede wszystkim w kościele, w zakrystii, w ogrodzie, a czasami też na zewnątrz przy odśnieżaniu drogi do kościoła, aby utorować przejście idącym na Mszę Świętą. W tych wszystkich zaangażowaniach, w jakich obserwowałem braci zakonnych, jest jeszcze jedno, o którym teraz dopiero coś niecoś mogę powiedzieć, a które to według mnie, jest najważniejsze. Mianowicie chodzi o życie wspólnotowe, życie wewnątrz wspólnoty zakonnej.

Z opowiadań starszych braci zakonnych wynika, że różnie to życie wyglądało przed kilkadziesiątoma laty, ale zawsze cechą, o którą szczególnie dbano, była troska o jedność i wzajemne zrozumienie, a co za tym idzie,

wzajemną współpracę, aby wspólnie dzielić się wiarą, we wspólnocie i na zewnątrz.

W pamięci zanotowałem sobie wiele fragmentów z życia zakonnego braci, które są dowodem na to, że taka wzajemna współpraca była i że tę współpracę charakteryzowała ich wzajemna miłość. W przeciwnym bowiem wypadku skąd brałby się u nich ten duch radości, duch prostoty i łagodności, którym żyli w swoim codziennym szarym posługiwaniu i którym dzielili się ze wspólnotą (wiem to z opowiadań o br. Zielińskim i br. Butansie), a także z innymi ludźmi.

Dzisiaj, kiedy przywodzę na myśl opowiadania starszych braci zakonnych i obserwuję życie zakonne obecnie, dostrzegam, że wiele znaczy obecność brata w życiu wspólnotowym. Choć zmienił się częściowo charakter pracy, choć zmieniły się zaangażowania, to jednak nie zmieniła się rola brata zakonnego w budowaniu życia wspólnotowego, we wspólnym rozwiązywaniu problemów, wspólnym decydowaniu, planowaniu czy ogólnie mówiąc we wspólnym budowaniu życia zakonnego.

Pukając do „fury klasztornej” (przeszło dwa lata temu), nie wiedziałem, co mnie czeka po jej drugiej stronie, nie miałem nawet sprecyzowanego pragnienia, które w jakiś sposób dałoby mi wizję przyszłej posługi.

Gdy byłem już po drugiej jej stronie, w któryś ładny jesienny dzień, współbrat z nowicjatu poprosił mnie o zastępstwo przy chorych. Chętnie odpowiedziałem: „tak”. Gdy jednak przyszło do konkretów, zacząłem się lękać, czy dam radę, czy będę miał odwagę uśmiechnąć się do cierpiącego człowieka?

Muszę przyznać, że od tego pierwszego razu, od tego pierwszego spotkania z chorymi, którym trzeba było pomóc w ich niedomaganiach starczego wieku, nie odczuwam czegoś takiego, co mogłoby zniechęcić mnie do tej posługi.

Mam już za sobą dwa lata tej pracy i mogę szczerze powiedzieć, przytaczając słowa jednego ze współbraci, że praca w infirmerii przy chorych jest „kopalnią łaski”. Jeśli zatem chcesz się o tym przekonać, jeśli chcesz tego doświadczyć na własnej skórze, jak wielkim bogactwem jest posługa potrzebującemu człowiekowi, jeśli chcesz nabyć trochę cierpliwości, to proszę, przyjdź do infirmerii, przyjdź i usiądź przy chorym, i spróbuj wejść w jego świat, choćby przez krótką chwilę zastanawiając się nad jego losem, a docenisz swoje zdrowie i na pewno dostrzeżesz, że i choroba, i cierpienie jest czasem łaski, zarówno dla cierpiącego, jak i dla posługującego mu.

Takim właśnie głoszeniem imienia Pana swym braciom i chwaleniem Go pośród zgromadzenia jest dla mnie codzienna praca w infirmerii, codzienna posługa tym, którzy zebrali już owoce swojej pracy i czekają na otwarcie „ciasnej bramy” prowadzącej do królestwa niebieskiego.

Do tej posługi potrzeba wiele wewnętrznej siły, a czerpię ją przede wszystkim z Ofiary Eucharystycznej. Prócz modlitwy są jeszcze współbracia, którzy dobrym słowem podnoszą na duchu. Spośród owych dobrych słów zapamiętałem jedno zdanie, które otrzymałem w prezencie tuż przed wstąpieniem w szeregi towarzyszy Jezusa. A oto ono: „Życie zakonne jest trudne, ale piękne”. Prawda?

Chciałbym jeszcze dodać, że moja posługa nie zawęży się tylko do tej jednej, mam także wiele zaangażowań, które pozwalają mi na kontakty z ludźmi świeckimi, dzięki którym mogę wspólnie z wszystkimi odczuwać i przeżywać rzeczywistość, która dokonuje się poza domem zakonnym. I tam również mogę głosić imię Boże, chwalić Go poprzez pracę, poprzez modlitwę, poprzez zaangażowanie dla wspólnej sprawy, dla wspólnej misji, aby pomóc duszom, „dla większej chwały Bożej”.

Br. Sylwester Wojdyła SJ

NIESZPORY CYGAŃSKIE



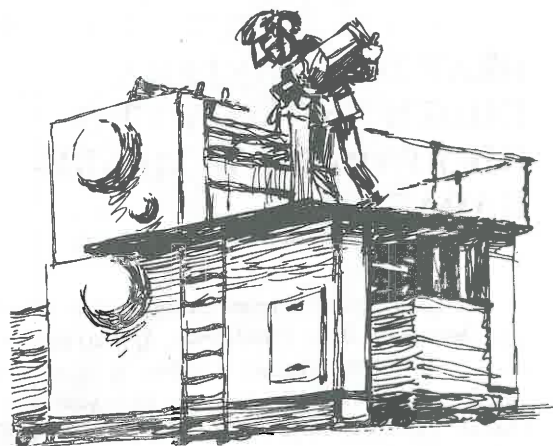
Pod tym tytułem, wspólnie z naszymi przyjaciółmi Romami wydaliśmy kasotę, nagrałą w studiu *Inigo* w Krakowie. Składają się na nią utwory, które towarzyszą społeczności Cyganów w ich odwiecznej wędrówce. Jest w niej wiele ze zwykłej codzienności, radość przeplatana smutkiem, tęsknota i spełnienie, oraz dyskretna obecność Boga, bez którego pielgrzymowanie staje się błędzeniem.

Warto też dodać kilka słów o samym zespole *Kale Jakha*. Mimo, iż powstał on zaledwie rok temu, jego wielokrotne występy spotkały się z gorącym przyjęciem publiczności, oraz pełnymi uznania opiniami znawców kultury cygańskiej. Nie przypadkowo więc będzie go można ujrzeć jako reprezentanta polskich Romów, podczas tegorocznego Międzynarodowego Spotkania Cygańskich Zespołów Muzycznych w Gorzowie Wielkopolskim.

Piotr Aszyk SJ

POSZERZENIE HORYZONTÓW

Prezentujemy tutaj krótkie świadectwo powołania br. Krystiana Knosala SJ pracującego w drukarni przy Wydawnictwie Apostolstwa Modlitwy.



Z jezuitami zetknąłem się po raz pierwszy w roku 1988, będąc na czasach w Piwnicznej. Myślę, że to miejsce i ten czas zdecydowały o dalszych moich losach.

Wszystko zaczęło się od tego, że mój rodzony brat zapragnął odprawić rekolekcje, myślał nawet o przebywaniu wśród kamedulów przez miesiąc, ale rozmowy z ówczesnymi nowicjuszami pokierowały go do Starej Wsi. Po ośmiu dniach przyjechał jakoś dziwnie zadowolony. Ten jego stan ducha bardzo się udzielał, więc postanowiłem i ja skorzystać z tego skutecznego środka. Przy najbliższej okazji pojechałem i „na własnej skórze” przeżyłem działanie łaski. Ćwiczenia te były kolejnym znakiem prowadzącym mnie do życiowego wyboru. Choć nie od razu wskazały mi drogę życiową, to jednak przyczyniły się do głębszego zastanowienia nad nią. Zastanawiałem się około kilku miesięcy, by w końcu podjąć następny krok i dokonać wyboru w czasie II Tygodnia Ćwiczeń Duchownych. To, że jestem już czwarty rok w Towarzystwie, świadczy, że wybór był właśnie taki.

Ostatnio, wykorzystując możliwości, jakie daje zakon, mam okazję poszerzyć sobie horyzonty wiedzy w Technikum Poligraficznym.

Nauczyciele wykazują względem mnie postawę tolerancji i otwartości, co także daje mi wiele do myślenia. Zarówno nauka, jak i praca, którą wykonuję, wnosi w moje życie wiele radości i zadowolenia. Widzę w tym swoją wartość, że mogę być komuś potrzebny.

Myślę, że brat zakonny powinien odnaleźć swoją wartość, jaką posiada przez to szczególne powołanie, nieraz trudnej i mozolnej, ale w oczach Bożych wielkiej służby.

Br. Krystian Knosala SJ

BRAT DUSZPASTERZ. CODZIENNOŚĆ W UBO- GIEJ PARAFII W MBARE- HARARE



Niniejsza opowieść brata zakonnego na temat jego pracy w Harare (Zimbabwe, Afryka) pochodzi z roku 1989. Ukazała się ona w jezuickim miesięczniku »An unsere Freunde. Informationen der süddeutschen Jesuiten« (Januar 1990, s. 12-13) wychodzącym w Monachium. Br. Emmanuel przybliżył nam rzeczywistość bezdomności i nędzy, która jeszcze dziś jest udziałem afrykańskiej ludności oraz daje nam odpowiedź na pytanie, czy brat zakonny może posługiwać w parafii?

Br. Emmanuel Tirivanhu (1941) do Towarzystwa Jezusowego wstąpił w 1965. Po zdobyciu wykształcenia w Szkocji nauczał w szkole zawodowej w Harare. Od roku pracuje w parafii.

Kiedy tak dziś powracam myślami do przeszłości, jestem przekonany, że czas, jaki spędziłem w St. Peters Kubatana, był najowocniejszym okresem w moim życiu zakonnym. Z wykształcenia jestem ślusarzem, chociaż tak właściwie, dokładniej, jestem monterem urządzeń technicznych. Podczas mojej pracy w szkole mogłem bardzo wiele nauczyć się od każdego z moich uczniów. Znałem ich wszystkich po imieniu. Większość z nich pochodziła z bardzo biednych rodzin i musieliśmy dość często walczyć o zniesienie wobec nich opłaty za szkołę (czesnego). Szczególnym szacunkiem darzyłem tych, którzy pochodzili z najbardziej prymitywnych warunków; szanowałem ich bardziej aniżeli innych. Musieli bowiem w większości bardzo ciężko pracować i stąd też o wiele lepiej „znali życie”. Niejednokrotnie musieliśmy także umieszczać w jakiejś szkole niektórych uczniów, gdyż oni, ściśle rzecz biorąc, byli dosłownie bez dachu nad głową. Gdyby tylko rząd się o tym dowiedział! Aby bowiem zdobyć potrzebne pieniądze na opłacenie szkoły, trzeba było bardzo wiele pracować po zakończeniu zajęć w szkole a także w czasie ferii. Pilnowałem, aby nikt z nich nie potrzebował niczego pożyczać od innych. To doprowadziłoby ich do tego, iż nie nauczyliby się szanować potem swoich rzeczy.



Celem dokształcenia w 1987 przez rok przebywałem w Dublinie (Irlandia). Gdy zeszłego roku wróciłem, byłem przekonany, że zostaną przez przełożonych skierowani do pracy w parafii, a dokładniej do parafii w Mbare, dzielnicy Harare. Do końca nie byłem pewien, co tam właściwie miałbym robić, skoro przez długich osiem lat przygotowywano mnie do nauczania rzemiosła. W tejże parafii bardzo aktywnie pracowało już bowiem dwóch kapłanów. Obaj są angielskimi jezuitami. Powinienem jako brat zakonny i, że tak powiem, jako afrykański element przede wszystkim żyć w tej wspólnocie. Ale co można robić będąc bratem zakonnym w parafii u boku tak wspaniałych kapłanów? - Zastanawiałem się nad tym. Okazało się, że jeden z nich, proboszcz, zupełnie nie znał shona, języka miejscowej ludności. W dodatku drugi kapłan na krótko przed moim przybyciem złamał sobie w wypadku samochodowym nogę i leżał w szpitalu. Byłem więc niejako zmuszony podjąć obowiązki jednego albo drugiego z nich.

Ważną częścią mojej pracy jest czas poświęcany duszpasterstwu chorych. Pojedynczym chorym zanoszę Komunię św. do domu, z większością natomiast spotykam się w hararskim szpitalu. Poprzez kontakt z nimi mogę doświadczać, że życie w rodzinie może być jeszcze o wiele jeszcze cięższe, aniżeli doświadczałem tego podczas pracy w szkole.

Mbare jest starą częścią Harare, a St. Peters Mabre jest najbiedniejszą parafią. Na jej terenie znajduje się wielka liczba prymitywnych domków czy raczej chat, które podczas wojny przed dziesięciu laty zostały bezprawnie zajęte przez okupanta. Wielu mieszkańców, którzy wówczas byli uciekiniera-

mi, tak i dziś nadal żyje jak uchodźcy. Przeważająca część nie znalazła sobie pracy i przechodzą poprzez życie jako żebracy. Nie chodzi przy tym wcale o pieniądze, lecz o rzeczy o wiele bardziej podstawowe: żywność, odzież, pościel. Od sióstr dominikanek otrzymujemy regularnie dostawy używanej, ale jeszcze nadającej się do noszenia odzieży - jest to ogromne wsparcie.

W bezpośrednim sąsiedztwie plebanii znajduje się szkoła podstawowa dla dzieci z tej dzielnicy. Wiele z nich uczęszcza do niej bez wymaganych mundurków i bez butów, boso. W zimniejszych okresach roku muszą te dzieci przechodzić okropne męczarnie. Kierowniczką szkoły, która jest siostrą zakonną, przyprowadziła do nas ostatnio chłopca i zapytała, czy nie moglibyśmy jej pomóc w zdobyciu odpowiedniego stroju szkolnego. Dla dwunastu dziewcząt postarała się już o odpowiednie ubrania...

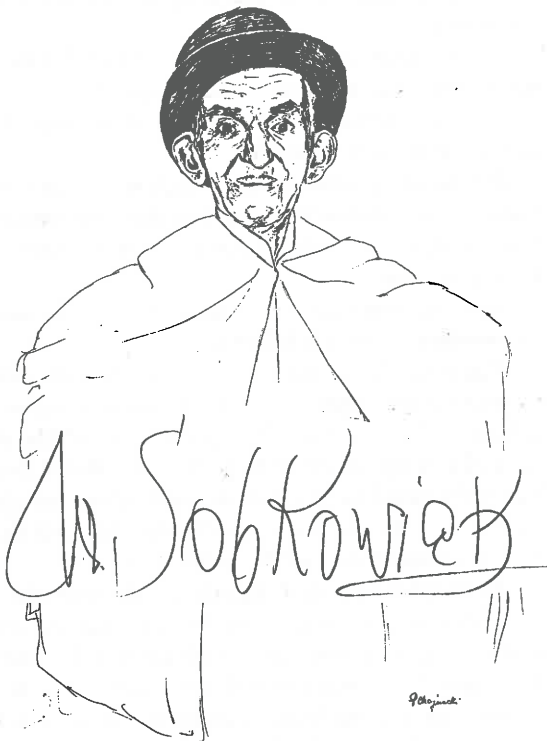
Tak mija dzień za dniem, młodzi ludzie w szkole i ze szkoły idący do pracy, ludzie chorzy, starzy ludzie, ludzie w biegu, zagonieni oraz ludzie w ogromnej nędzy. Jednak cieszy mnie życie i praca tutaj, a moim głównym życzeniem jest pragnienie niesienie jeszcze większej pomocy, by jeszcze bardziej pomagać.

Br. Emmanuel Tirivanhu SJ

Z języka niemieckiego tłum. Marek Majczyna SJ

AŻEBY EDZIU BYŁ ZAKON- NIKIEM

Wzajemne spotkania, rozmowy, wspólne życie, czy wreszcie poznawanie faktów już przeszłych, to droga, na której ludzie zbliżają się do siebie. Wspomnienia kogoś starszego o kilkadziesiąt lat, to okazja do „odkrycia” nie tylko jego samego, ale również klimatu, zwyczajów i osobliwości czasów, których opowiadanie dotyczy. A jest to tym bardziej interesujące, gdy głównym bohaterem jest żyjący już w zakonie ponad pół wieku brat Edmund Sobkowiak SJ. Prezentujemy fragmenty rozmowy z nim, jaka miała miejsce w gdyńskim nowicjacie.



Każdy z was usłyszał pierwsze swoje powołanie: „Pójdź za mną!” Jeden prędzej, drugi później... Ale ja właśnie usłyszałem, jak miałem cztery lata, około czterech lat - już mnie chwyciło. (...)

Tymi słowami rozpoczął br. Sobkowiak opowieść będącą odpowiedzią na naszą prośbę o kilka wydarzeń z początków Jego życia zakonnego. Brat odbywał nowicjat w Kaliszu w latach 1935-1937, ale te wspomnienia sięgają jeszcze dalej. Urodził się w roku 1910.

Byłem w Śremie. Miałem rok - babusia przyjechała, zabrała mnie i zaczęła wychowywać za piecem - jak to u babusi za piecem było tak... - stale śpiewała ta babcia w domu. Kiedyś dała mi różaniec i zaczęła mnie uczyć, że na każdym największym ziarnku trzeba odmówić całe „Ojcze nasz”, a na każdym

następnym „Zdrowaś Maria”. Ale tyle czasu, toż to przecież końca nie ma - rzuciłem. (...)

Tkwiały w Nim niespokojny żywioł, widoczny zresztą do dziś, stanowił wyraźną przeszkodę w pierwszych próbach zainteresowania Go życiem zakonnym.

Ale babusia stale się modliła: „Ażeby Edziu był zakonnikiem.” A ja to machałem ręką, widzicie... latałem tam. (...)

Pierwsze kroki w edukacji stawiał w czasach, gdy Polska zależna była jeszcze od swoich zaborców.

Do szkoły podstawowej zacząłem chodzić już w gminie. Było to za Niemca... po niemiecku, dwa lata było po niemiecku. Musieliśmy śpiewać; śpiewałem, ale nie wiedziałem co, sam nie rozumiałem. Nie miałem jeszcze sześciu lat wtedy. (...)

Kontynuował naukę w dwuletniej szkole handlowej w Kómiku. Gdy miał lat czternaście, zmarła babunia.

Należała do tercjarzy - oni pochowali również dziadzia. Zmarła... i zostawiła całą kupę „Postańców Serca Jezusowego”. Tak przewracałem te „Postańce” i gdzieś u góry czytam: „Na służbę Bożą”, a machnąłem... Ale tak ciekawy byłem, co to może być „na służbę Bożą”? - gdzie to może być? Tam był folwark za jeziorem, to wiedziałem - na służbę tam idą u gospodarzy. I u nas była też służąca i parobek był. Ale „na służbę Bożą”? I to „powołanie” zamknąłem do kuferka sobie. (...)

10 lat później podjął decyzję o wstąpieniu do zakonu.

Wróciłem z wojska, to miałem dwadzieścia trzy lata. Jeszcze rok byłem w domu - to to, to owo, szykowali warsztat i panny już mówią... „Ty nie masz powołania!” - „mam powołanie, mam!” - i w kuferku miałem. Zabawę zrobiłem jeszcze na koniec, tańcowali my tam i te kobiety, co spódnice miały duże, i oberka po tych ścianach się tańcowało... - jechałem na drugi dzień do klasztoru. (...)

W roku 1934 pojechał do Lublina, do „Bobolanum” na odbycie aspirantury. Opiekunem aspirantów był wtedy o. Franciszek Domański SJ.

Było nas tam czterech, ale jeden zaraz pojechał do domu; na złość chciał narzeczonej zrobić, z Warszawy taki, to przyjechał. To ona przyjechała po niego... - i pojechał sobie. (...)

W Lublinie spotkał m.in. o. Marsängera SJ.

Jak tam były przedstawienia, to on grywał diabła. Ale diabeł by lepiej nie zagrał jak o. Marsänger: przebrał się tak bogato, elegancko, taki szeroki płaszcz, z tego płaszcza ogień się sypały. (...)

Także i Jego niespokojny duch podsuwał Mu różne pomysły.

O dziewiątej przychodził do nas kleryk Bartkiewicz i dawał nam punkta. To pamiętam jak dzisiaj jeszcze, opowiadał: „Tak jest... taka harmonia musi

być w życiu duchowym, jak w tym zegarku - wszystko jedno ciągnie." A ja miałem budzik. Potem o tym zegarku, potem na drugi raz znowu o tym budziku gada. Siedzimy sobie tak za stołem, taki był wysoki stół, i ten budzik trzymam. Jak on opowiada, opowiada... nakręciłem go i... - jak zaczął dzwonić ten budzik - jak się śmiał! Ja nie wytrzymałem - musiałem żartować. (...)

Bywały i takie sytuacje:

Ja nie mogłem wysiedzieć, żeby na tym jednym miejscu - wziąłem książkę i po pokoju... na korytarz wychodziłem. Taki jeden tam był, on taki gorliwy, to poskarżył się. Wtenczas my gadali sobie na „pan”; nie na imię, tylko „pan”. „Ten pan to majster taki, to majstruje... tam buduje... to on książkę bierze sobie i z książką po korytarzu łązi, książkę do góry weźmie i patrzy przez okno, i z góry...” Ja tam: „Ja mam... - objawienia mam!” Ojciec Domański potem się pyta: „jak tam, a jak tam te objawienia?” „Nie zawsze - ja mówię - czasami chodzę, chodzę... i nie mam objawień.” (...)

Po roku aspirantury przyjechał do nowicjatu - za wcześniej o dwa tygodnie. Musiał czekać na wprowadzenie. Aż wreszcie zaczęło się...

„Anioła” takiego miałem - wprowadzał mnie wszędzie. A taki świątobliwy był, taki jak aniołek - ani głową nie ruszył: „No to tak, no to tak...” - i zapowiedział: „Ja zawsze przyjdę po pana, przyjdę... tymi schodami tam...” (...)

Wszystko to miało być takie „pod linijkę”, akuratne - ale nie dla naszego Brata. Opiekował się więc raczej sam sobą, dając sobie doskonale radę i nie okazywał wcale respektu wobec „anioła”, u którego nawet skrzydeł nie było widać.

Jako wykwalifikowany stolarz zajmował się razem z br. Adamem Lewandowskim SJ naprawą wszelkich mebli. Pracowało się wtedy w sutannach, a więc nie sposób było ich nie wybrudzić. Poruszony oplakany stanem swojego stroju zakonnego zdecydował się kiedyś drastycznym sposobem pozbyć się szpecących go plam. Nie przeczuwał niczego złego...

Trzeba było z drzwi zeszkobać farbę takim mocnym, 90-procentowym ługiem. I brat Lewandowski szorował to i zmywał farbę. A ja tę sutannę miałem klejem wysmarowaną. Wziąłem: to przemyję tę moją suknię. To ją zdjąłem i tego ługu naląłem jeszcze, i tę sutannę dotąd, do kolan - gdzie była w tym kleju - wsadziłem, chciałem wyprać. Jak wsadziłem do tego ługu, tak potem cisnę, cisnę... potem pod kran - chciałem wypłukać. A ona całkiem się ukrećciła, tylko takie strzępy były - „ooo... co z tym zrobić?” Lewandowski przyszedł: „Carissimunciu, carissimunciu, coś ty narobił?” (...)

Takie nieszczęśliwe wypadki, jak i inne, np. zbitcie talerza lub kubka, zobowiązywały danego pechowca do odbycia pokuty.

Tam w każdy pierwszy piątek były te pokuty takie urzędowe. Minister stał przed obiadem przy drzwiach refektarza i każdy prosił o pokutę. Później klękało się, całowało ziemię, z podniesionymi rękami odmawiało psalm „Miserere” i wypowiadało formułkę: „Wielebni Ojcowie i Bracia najmilsi! Ze strony Świętego posłuszeństwa opowiadam Wam winy moje, żem był niedbały a zwłaszcza, żem zbił ..., za co Wam opowiadam tę moją winę. Przyrzekam Wam szczerze, że się poprawię i za przyczyną naszego Ojca Świętego Ignacego, św. Stanisława Kostki i św. Alfonsa przyrzekam szczerą poprawę.” Zniszczoną rzecz trzeba było obnieść wokół na tacy. Na środku w refektarzu był taki stolik i wtedy przy nim jadło się na kłęczkach. Kto skończył jeść, to wracał na miejsce. (...)

Życie nowicjackie płynące z określonym z góry rytmem skomplikowały Bratu dolegliwości ciała.

A wychowany byłem na powietrzu, w lesie, na jeziorze. A w nowicjacie drugi rok to chorowałem. Nie chciałem się przyznać - na żołądek, bo za mało miałem ruchu. (...)

Jak udało się Mu pozbyć tej obawy przed odkryciem kłopotów i skąd ona się wzięła?

O. Sopuch był prowincjałem. Mówił, że który tam... jak w nowicjacie choruje, no to nie ma powołania - do domu! O. Sopuch przyjechał na wizytację. Jeden idzie z tych nowicjuszy na księży i tak: jeden - do domu, drugi - do domu, trzeci - do domu. A bracia mieli później, ale ja: „Pójdę czwarty, może zatrzymam...” Ja tam wchodzę, a tam: „Jak się nazywasz?” - „Sobkowiak”. Patrzy - nie ma w spisie. „No, a ja na brata!” „A to jakże...?” - „Nie, proszę o. Prowincjała, ja chciałem zatrzymać tę falę, bo jeden, drugi, trzeci do domu - może na mnie się zatrzyma?” A tu Sopuch - tak się śmiał; i ze mną dużo nie gadał: „Zatławione, już idź! Niech przyjdzie następny” - już więcej nie posłał do domu. (...)

Brat Sobkowiak składał śluby sam, jako że sam był wprowadzany do nowicjatu. Dwa dni później wyjechał z Kalisza na placówkę do Wilna. Tam zastał Go w roku 1939 wybuch wojny.

Opr. Tomasz Konieczny SJ, Bogusław Trzeciak SJ

MEKA CHRYSTUSA WEDŁUG BRATA VENZO



Brat Mario Venzo SJ, znany i ceniony malarz, umiłował w sposób szczególnie tematykę związaną z męką Jezusa. Starał się w swych obrazach na nowo odczytać klimat czasu zbawienia. W sposób mistrzowski komunikuje odbircę swych dzieł z osobą Umęczonego. Dokonuje tego poprzez doskonale skomponowaną grę kolorów, cieni i światła. Ukrzyżowany w jego dziełach staje się jeszcze bliższy współczesnemu człowiekowi. Niniejszy tekst ukazał się w angielskojęzycznej wersji „The Jesuits. Year Book of the Society of Jesus – 1989”.

Chrystus w czasie drogi

Jeżeli w męce Chrystusa temat ukrzyżowania najbardziej interesuje brata Venzo, to dlatego, że jego symbolizm znajduje tutaj miejsce na największą spontaniczność przejawiającą się w kolorystyce jak również w temacie. Czerwień o różnych odcieniach odpowiednio dobranych (znak męki i miłości) oraz kontrasty barwne i graficzne (wyrażające zmaganie się ze złem i bólem) łączą się w tych stacjach Drogi Krzyżowej w pełną uroczystego uniesienia i zrównoważoną a równocześnie wzruszającą harmonię. Zarówno w *Drodze Krzyżowej z Grottaferrata*, która należy do pierwszych jego malowideł jak i w *Drodze Krzyżowej z Prospiano* jednej z ostatnich, odnajdujemy pozbawioną słów i nagą treść, która w sposób najbardziej pełny, jaki tylko można sobie wyobrazić, kojarzy ducha ewangelicznego z blaskiem barw, który wywołuje okrzyk protestu i zachwytu. Krótko mówiąc, treść obrazu i wyrazistość grafiki zbiegają się tworząc jeden prosty język przekazu.

Chrystus w człowieku

Brat Mario Venzo jako jezuita narodził się w 1940 roku (wtedy to bowiem wstąpił do Towarzystwa Jezusowego - przyp. tłum.). Brat Venzo jezuita-artysta - kilka lat później.



Mario Venzo urodził się 14 lutego 1900 roku w Rossano Vento, w prowincji Vicenza jako szósty spośród dwanaściorga dzieci. Ojciec jego był właścicielem fabryki jedwabiu i swego syna widział w przyszłości jako przedsiębiorcę. Ale Mario, po zdobyciu dyplomu z rachunkowości, poczuł nieodparte powołanie do sztuki, które przywidło go do Akademii Sztuk Pięknych w Wenecji. W 1925 roku przeniósł się do Paryża. Około 1930 roku Venzo stał się znanym i cenionym artystą; wtedy też po raz pierwszy wystwił swoje prace. Jego *U kresu życia* zrobiło wielkie wrażenie w Salonie Niezależnych Artystów: przedstawiało starą żebraczkę na murach Bastyli.

Wówczas dojrzały zarówno jego sztuka jak i powołanie. Wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Nosił się z myślą wyrzeczenia się pędzla i farb, ale Opatrzność powoli posługując się upartymi przełożonymi na nowo postawiła go przed sztalugami i płótnem. W 1948 roku ponownie rozpoczął swoją działalność artystyczną. Co pewien czas wystawiał prace we Włoszech, Francji, Brazylii, Niemczech, Szwajcarii, Stanach Zjednoczonych, Monaco i Kolumbii. Od 1962 roku mieszkał w Aloysianum w Gallarate (dom jezuitów pod Rzymem - przyp. tłum.).

Barwa smutku

Niewątpliwie ekspresjonizm brata Venzo jest najtrafniejszym sposobem malarskiego ujęcia dramatu religijnego, a w szczególności dramatu męki

Jezusa, w tym sensie, że przez ekspresjonizm rozumie się fakt, iż całe dzieło malarskie - zarówno postaci, tło jak i szczegóły - są wprzęgnięte w przekazywanie znaczenia treści zarówno rzeczywistej jak i symbolicznej i że „cały dramat” (Chrystusowy) nie ma w sobie nic z pobożnej łązowości obrazka, ale ujawnia sobą fizyczną, fizjologiczną i duchową zwartość całej sceny. Będzie to dramat wyrażony pełnym głosem poprzez formy i samą jego naturę, podobnie jak pory roku, burzę z piorunami, czy też poprzez typowy zachód słońca! Będzie to coś, co wciąga zmysły i ducha w nurt gorącej rzeki miłości. Biografowie opowiadają o tym, jak to Venzo nie będąc jeszcze bratem zakonnym, przybył do Paryża zwabiony słodkim urokiem impresjonizmu i dodają, że wtedy zachwyił się dziełami Georgesa Rouaulta. Nie potrzeba dodawać, że po wstąpieniu do instytucji religijnej, jaką jest zakon, jego malarstwo nosi cechy malarstwa religijnego.

Patrząc na jego obrazy o tematyce sakralnej (choć dotyczy to także jego pejzaży, jeśli ktoś umie patrzeć na obraz sam w sobie, niezależnie od postaci i zdarzeń, jakie przedstawia), zdajemy sobie sprawę, że brat Venzo musiał inspirować się także innymi współczesnymi wzorami - na pewno wielkimi ekspresjonistami niemieckimi, ale przede wszystkim nosił sam w sobie źródło swego natchnienia: swoją zakonność, swoją wiarę i zdolności do jej wyrażania.

W ten sposób, w każdym czasie ta sztuka staje się dla człowieka nośnikiem prawdy, a nie tylko źródłem „zachwytu” czy przeżyć. Po prostu w tej pałacej potrzebie samowrażenia malarz znajduje przemożną energię, która jest w stanie uczynić z malowania przeżycie, stan duszy, napędową siłę pełnego miłości działania.

Krzyż

Najlepszym tego przykładem są postaci Ukrzyżowanego w ujęciu brata Venzo. Łatwo można dostrzec w chronologicznym przebiegu jego artystycznego rozwoju, coraz większa i znacniejsza rola przypada fabule. W tak zwanej *Drodze Krzyżowej z Grottaferrata*, na przykład, narracja w poszczególnych stacjach przejawia się w ruchu: postaci są niemal pozbawione ciała, określone jedynie przy pomocy koloru - czerwień krwi Chrystusa, ceglasto-czerwony kolor Jego szat, zieleń nadziei wskazuje na tego, który Mu pomaga, barwa nieba zaś przechodzi od szkarłatu tajemnicy do ciemnomiedzianego koloru nocy krzyża; płomyki ognia rozświetlają cienie, a zbolale, gorące spojrzenie Najświętszej Dziewicy stara się Go niejako podeprzeć, gdy wisi udręczony w niewygodnej pozycji na drzewie krzyża.

A kiedy potem Chrystus na kolanach matczynej miłości przedstawiany jest w bezkresnej wizji „piety”, wydaje się, że czerwono-ceglasto-purpurowe tło wydaje runie na świat - to trzęsienie ziemi i zjawy, koszmar i beznadzieja.

Następna, końcowa scena w grobie: teraz twarz Madonny płonie niewysłowionym, pełnym mocy światłem, a roztaczający się wokół krajobraz lśni wszystkimi barwami tęczy, w różnych odcieniach i stanowi już jakby zapowiedź przyszłości, wskazuje na najgłębszą tajemnicę życia.

Wydaje mi się, że rozwój artystycznego języka, ducha i zapału Brata Venzo, od tej „Męki” sprzed ponad 20 lat, poprzez dwie inne, aż po liczne ciągle modyfikowane wersje „Ukrzyżowania” jest rzeczywiście niezwykle, poczynając od tego, co się okazało na jego wystawie z okazji konferencji na temat: „Teologia i duchowość Serca Jezusa” w Rzymie w 1980 roku. Siny, posiniaczony Chrystus; w tle - przemysłowe miasto, tu i ówdzie światła i kominy wyrzucające z siebie czarny dym; zachodzące pomarańczowe słońce przebijające się przez ołowiane chmury. To dramat ludzkości, ze współczesnym zanieczyszczeniem środowiska, nabierający wymiaru objawienia zmagającej się ludzkiej męki symbolizowany przez czerwoną krew, która spływa z dłoni Umęczonego, by tchnąć życie w zimne barwy niehumanistycznego świata zredukowanego do zbiorowiska numerów, świata, który ubóstwił zysk i ambicję, sukces i próżność.

Obrazem odznaczającym się jeszcze większym uczuciem, dramatem, zanurzonym w tajemnicy męki (a przy tym odkupionym i ożywionym dzięki ofierze z życia), jest najnowsze „Ukrzyżowanie” na czerwonym tle. Jest to obraz, na którym dotykalna materialność barw, poza ich odcieniami, podkreśla, uwypukla, uwyrażnia jego formę, tchnie życie i nadzieję w tło nasycone krwią. Jest to rodzaj „nieformalnego” materiału, który jest zdolny do wyrażenia tego nastroju i tych stanów duszy. Jest to niepokój, graficznie rozbieganie odcieni i kolorowych plam: zielonych i purpurowo-zółtych, czerwonych o różnych odcieniach i rudo-brązowych - mieszanina kolorów, które choć opisują zbliżanie się śmierci, są tak podnoszące na duchu, że pozwalają już przeczuwać nadchodzące zmartwychwstanie i samo życie. Przedstawienie dramatu w takich barwach wyraża młodość, bogactwo i żywotność.

W historii malarstwa, brat Venzo, zawodowy malarz, wniósł niewątpliwie najbardziej autentyczny impuls do sztuki współczesnej. Dowodzi to słusności słów Pawła VI, który nazwał tego współczesnego artystę z jego dramatyczną indywidualnością „pośrednikiem Boga... jedyną duszą, która wyśpiewuje swój smutek i wiarę” i nieskalaną czystością tej wiary zachwyca obojętną i sceptyczną ludzkość. Posługuje się on najnowszymi środkami wyrazu, zdolnymi do wyrażenia starodawnej treści. Jest to prawdziwa sztuka na nasze czasy.

Giorgio Mascherpa

Z języka angielskiego tłum. o. Stanisław Ziemiański SJ i Marek Majczyna SJ

BŁOGOSŁAWIONY DOMINIK COLLINS SJ

Dnia 27 września 1992 roku Ojciec Święty Jan Paweł II dokonał w Rzymie beatyfikacji Sługi Bożego br. Dominika Collinsa SJ, który poniósł śmierć męczeńską za wiarę. Przedstawiamy tutaj jego biografię, która ukazała się w roczniku "Jesuits 1993".

Dominik Collins SJ urodził się w Youghal, County Cork, na południowym wybrzeżu Irlandii, około roku 1566. Jego ojciec Jan i jeden z jego braci byli burmistrzami w mieście, co wskazuje na to, że rodzina była zamożna. Jego matka, Felicity, pochodziła z irlandzkojęzycznej rodziny, więc na pewno od młodego wieku Dominik uczył się irlandzkiego i angielskiego. Poznał zapewne jezuitów, ponieważ była w Youghal mała szkoła jezuicka w okresie jego dzieciństwa.

Istniało wtedy w tamtych okolicach wiele napięć politycznych. Ponadto w Irlandii rozwijał się konflikt religijny w miarę jak rząd Królowej Elżbiety I poszerzał w kraju swoją władzę i usiłował narzucić protestantyzm. Dominik nie widział dla siebie przyszłości w kraju ojczystym, więc w wieku ok. 20 lat, wybrał się do Bretanii. Pracował jako służący w dwóch różnych oberżach w Nantes



przez 3 lata i oszczędził na tyle pieniędzy, aby wyposażyć się w sprzęt żołnierski. Przyłączył się do wojsk Ligi Katolickiej i walczył podczas Francuskich Wojen Religijnych przez 9 lat, osiągając stopień kapitana.

Zdając sobie sprawę, że Liga Katolicka nie ma przyszłości, Dominik przeniósł się z Bretanii do La Coruña, w północno-zachodniej Hiszpanii. Otrzymywał wysoką pensję od króla i żył bardzo dobrze, mając do dyspozycji dwóch służących. Było dużym zaskoczeniem, gdy zdecydował wstąpić do jezuitów na brata. Czuł wielką pocięgę na myśl zostania zakonnikiem, ale nie czuł powołania do kapłaństwa, twierdząc, że całkowicie zapomniał łacinę. Dominikowi zaimponowali jezuitcy kapelani wojskowi, którzy ani nie przeklinali, ani nie uczestniczyli w grach hazardowych.

Charakter silnego Irlandczyka zrobił na Prowincjale Prowincji Kastylijskiej Towarzystwa duże wrażenie, ale chciał, aby Dominik był pewny swego powołania i kazał mu poczekać. Po ośmiu miesiącach, przyjęto go do nowicjatu przy jezuickim kolegium w Santiago de Compostella 8 grudnia 1598. Podczas pierwszej probacji zrobił duże wrażenie swoim wykwintnym ubiorem. Później, jako nowicjusz, był infirmarzem, kucharzem, zaopatrzeniowcem, oraz domowym. Gdy w domu szerzyła się zaraza, zdrowi jezuitci wynieśli się i Dominik pozostał sam przez 2 miesiące, pielęgnując tych siedmiu, którzy zachorowali. Niektórzy z jego pacjentów umarli, ale każdemu zaimponowała jego odwaga i „upartość”, którą to cechę spostrzegali w nim przełożeni.

Dominik złożył pierwsze śluby 4 lutego 1601. Ku jego zdziwieniu, kilka miesięcy później został skierowany do Irlandii, którą wiele lat wcześniej opuścił, ponieważ o. James Archer SJ, inny jezuita irlandzki, poprosił o niego jako towarzysza. O. Archer wspierał wysiłki dwóch wodzów irlandzkich, O’Niella i O’Donella, którzy buntowali się przeciwko Elżbiecie I i otrzymali pomoc od Filipa II Hiszpańskiego.

Br. Collins wypłynął z Lizbony 3 września 1601. On oraz o. Archer jeszcze się nie znali, ponieważ podróżowali na różnych okrętach i Dominiko-wo podróż zajęła o wiele więcej czasu.

Obaj jezuitci spotkali się po raz pierwszy blisko Castelhaven w styczniu 1602. Było to już po klęsce, jaką poniosły siły irlandzkie i hiszpańskie z rąk Anglików w Kinsale, County Cork. O. Archer i br. Collins pozostali, aby pomóc miejscowemu wodzowi O’Sullivan Beare w obronie twierdzy w Dunboy. O. Archer opuścił Dunboy na krótko przed oblężeniem przez Anglików. Opór był beznadziejny, więc Dominik, który nie brał żadnego udziału w bitwie, poddał się po zachodzie słońca 17 czerwca 1602. Był jedynym więźniem, który nie został prawie natychmiast stracony. Przewieziono go do miasta Cork, gdzie oddano go pod sąd wojenny. Długo go

przesłuchiwano, ale nie udzielił żadnych istotnych informacji, nawet gdy grożono mu torturami.

Dominika zachowywano przy życiu przez 4 miesiące w nadziei, że wydobędzie się od niego jakieś informacje, zaciągnie w służbę królowej jako oficer, albo zmusi do przejścia na protestantyzm. Jego własna rodzina próbowała go przekonać, aby przyjął wiarę protestancką, pozostając równocześnie katolikiem w sercu. Odrzucił wszystkie te propozycje. 31 października przywieziono go do miasta rodzinnego Youghal na stracenie. Celem, dla którego stracono go właśnie tam, było wzbudzić strach wśród miejscowej ludności, która знаła jego i całą jego rodzinę. Zmuszono ubogiego rybaka, aby służył jako kat a żołnierze kontrolowali tłum.

Dominik domagał się, aby mógł umrzeć w sutannie jezuickiej. Jego ostatnią wypowiedzią było to, że przyjechał do Irlandii, aby głosić wiarę katolicką i że chętnie by za nią umarł tysiąc razy. Dominika powieszono, a jego ciało wisiało na szafocie przez 3 lub 4 godziny, aż sznur się urwał, a ciało spadło na ziemię i utrzymywało się w postawie klęczącej. Ludzie z okolicy zabrali je w nocy i pochowali. Ojciec Generał Aquaviva SJ, jezuita hiszpański i irlandczyk, i świadkowie obecni przy straceniu, oraz wielu innych, od razu uznali w nim jako męczennika za wiarę.

Fergus O'Donoghue SJ

Z języka angielskiego tłum. Paweł Kapusta SJ

SMUTNY ŚWIĘTY, TO CO TO ZA ŚWIĘTY?

W drugiej części biografii br. Sobkowiaka SJ zapoznamy się z Jego losami podczas okupacji: dowiemy się o aresztowaniu oraz pobycie w obozie, gdzie przeżywał chwile radosne i smutne.

Było to w marcu 1942 roku. Dużo my wpieryw przeżyli! Ruski przyszli 17 września 1939. Do więzienia wtrącili raz i drugi, potem się uspokoiło, ale jak Niemcy ruszyli na Rosję, to wówczas w marcu wszystkich: z kościoła i klasztorów w jeden dzień wywieźli. Zakonnice, zakonników i z seminarium - wszystkich. Bp Jałbrzykowski był już przedtem zabrany. Stary o. Mozylewski uciekł do karmelitów i schował się do starego konfesjonatu. Tam go znaleźli i potem do obozu przywieźli.

Brat Edmund nie zwykł w takich sytuacjach tracić głowy.

Jak nas zabierali, ja tylko do spiżarki chodziłem i brałem do jedzenia. O. Mączka mówi: „Nie trzeba. Niemcy są z kulturą - oni nas przestuchają i puszcza.” A ja tylko z workiem do spiżarni po chleby, po kielbasę... Tam było dużo do żywienia - około 80 osób. Samochód już stał na ulicy, a ja jeszcze raz poleciałem do spiżarki i zabrałem 4 butelki wódki. No, uciekam. Patrę, a samochodu nie ma... Litwini, (...) mówią, żebym nie jechał, bo nie muszę, żebym został tam. „Nie - ja mówię - nie po to ja wstąpił do zakonu! Choćby wieźli na gilotynę, to polecę za nimi!” I wyleciał ja za tym samochodem... Leciałem, a śnieg był taki gruby wtenczas. Kiedy oni w ten śnieg się wpakowali - to ja ich dopędził. Wszedłem do samochodu i na tych swoich workach usiadłem. Wyjąłem organki i pogrywam sobie. A o. Wantuchowski, rektor, to tak wejrzał na mnie... A ja sobie dalej pogrywam: „raduje się serce, raduje się dusza...” Zawieźli nas do więzienia. Wpieryw zaprowadzili do hallu - i personalia wszystkich spisowywali. To ja sobie usiadłem w kącie, miałem ten worek i to wszystko, i znowu na organkach gram: „Matko ma, zakonie mój...”

Warunki w obozie przejściowym były isticie spartańskie...

Spisali nas, a potem do celi dali. A tam był mróz - oszronione ściany, szron na suficie i wszystkie rury oszronione. Rano, jak to stopniało, to chlap, chlap - po tej wodzie. Ze dwa centymetry wody było! Pierwsze dni to było strasznie. Jeszcze wszów się dorobiliśmy. Jedzenie było kiepskie, więzienne. Z więzienia nic nam nie dali, ale były paczki - ludzie codziennie paczki przynosili. Jak na spacer się chodziło, to było dobrze, ale ja tam miałem tyle

roboty, że myśleć nawet czasu nie miałem! Pratem, maglowałem, robiłem dezynfekcję - wszy trulem.

Pojawiła się nadzieja uwolnienia.

Ci jezuici litewscy starali się, żeby nas wziąć do siebie. Nami opiekował się wówczas jakiś dziedzic, taki Wanderski - spod Bydgoszczy. Niby Niemiec, ale umiał po polsku. Kiedyś przychodzi i mówi, żeby ojcowie się pakowali, bo pojedą do Kowna, do jezuitów. Klerycy byli wściekli, bo mogli zabrać wszystkich, a oni braci nie i kleryków nie, tylko tych „mszalnych” i profesorów. Akurat wtedy o. Wantuchowski grał z bratem Mielnikiem w szachy. Już dwie godziny grali i nie chcieli wychodzić - chcieli skończyć tę partię! „To ja przyjdę za godzinę” - ten Wanderski mówi. Za dwie godziny przyszedł - nie skończyli. Jak zdjął czapkę: „Ja wam będę pomóc!”, wszystko rozrzucił i za dziesięć minut - pojechali. A myśmy potem do października siedzieli. 7 października, w Różańcową akurat, resztę nas na duży ciężarowy samochód wsadzili i do obozu za Kowno wywieźli.

Tym razem pobyt w obozie kowieńskim miał okazać się długotrwały, ale niekoniecznie uciążliwy.

Przyjechali my, to była dziesiąta godzina wieczorem, w październiku - to ciemno. Dali nas do takich pokoików, po czterech, po pięciu. (...) Prycze my sami sobie robili, piętrowe. Ale w obozie, jak to było Naszych opuścić? Ja tam się przydałem. Handlowałem... A komendant nigdy nie mógł mnie chwycić. Ten komendant to wychowanek jezuicki, ale gimnazjum nie skończył. Jak byli Ruski, to był w partyzantce u Ruskich, przeciw Niemcom; jak przyszli Niemcy, to znowu w drugą stronę. Potem Żydów roztrzeźwiał na Ponarach i w nagrodę został komendantem duchownych. On dla nas jeszcze taki zły nie był, ale na kogo się uwziął... Ja z nim zaraz na „ty” byłem...

Okazji do ucieczki nie brakowało i nasz Bohater niewątpliwie skorzystałby z pierwszej lepszej, ale czy było warto?

My tam uprawiali 65 hektarów, a to nawet nie było ogrodzone. Do lasu jeździliśmy; można było uciec, ale powiedzieli: „Jak który ucieknie, to z tego zakonu - wszyscy do ciężkiego obozu”. Był obóz i z drugiej strony Kowna, tam bonifratrów dwóch uciekło i udało im się do Warszawy, ale resztę tych starych - do międzynarodowego obozu dali. Potem się z niektórymi widziałem: „Tam my przeżyli: i głód, i zimno, i wszy” - powiadali. A my? My jak ochronka, internowani niby tylko. Komendant nam mąki z żyta i jęczmienia na chleb namiełił i powiada: „To wam musi wystarczyć”. Ziemiaków w to dał, i więcej nic. Sami my musieli sobie gotować. Był taki kanonik, on to dobrze gotował... „A chleb piec kiedy?” - „Kiedy chcieć” ...

Na Jego użyteczności poznano się bardzo szybko.

Każdy miał swoją funkcję. Ja miałem końmi się opiekować. Cztery konie miałem. Do kościoła też jeździłem, komendantową wozilem. Komendant

powiedział: „Po polu nie będziesz jeździł, tylko konie tam opasał”. O. Sowa miał kury, te kury niosty jaja. U mnie w stajni też niosty, to ja tam już nie puścił - pozamykałem je - i do o. Mozylewskiego (on miał świnię i ziemniaki parował) - jajka w te ziemniaki wrzucałem. Kur było dużo, coś około 80 - to tych jaj było, że ho, ho...!

Nigdy nie brakowało Bratu niekonwencjonalnych rozwiązań...

Raz było tak. Komendant mnie nazaczył do pilnowania swoich dzieci, za o. Ząbka. Poszedłem. Z pieca wygarnąłem, „piernaty” na okna tu i tam wyrzuciłem. Poszedłem do kaplicy i tego większego chłopaka uwiązałem do łóżka. Dziewczynkę na łóżko, a ja obok się położył i ją trzymał, bo ona jeszcze roku nie miała, i tak sobie gadaliśmy. Uczyłem ją po polsku! Przychodzi komendantowa i krzyczy: „Aniel, Aniel”. Wchodzi, nikogo nie widzi - a on przy łóżku, tym sznurem przywiązany. Ona za telefon, do komendanta i mu gada, jak jest. Przyszedł i zbiórkę zaraz przed obiadem zrobił - nigdy nie było. „Ojciec Ząbek z powrotem! - »Sympatia« zda egzamin!” To komendantowa przezwala mnie »Sympatia« i tak już zostało. Nie Sobkowiak, ani nic, tylko - »Sympatia«.

Brat Edmund przy całej swojej obrotności i zaradności oddawał Naszym w obozie wielkie usługi. W swoich wyczynach ryzykował niekiedy i głową...

Pilnowali czasami, żeby mnie przychwycić, jak przed południem wylatywałem na handel. To komendantowa mówi: „Jak będą cię chcieli przychwycić, to ja z wózkiem, z dzieciakiem wyjadę na szosę”. Nigdy nie widziałem jej z wózkiem, a raz patrzę - jeździ. No to musiałem zrobić dwa kilometry wkóło, żeby do obozu wejść z tyłu. Wprost nie mogłem, bo tam wszyscy czatowali. A ja od tyłu ich zaszedłem i do „wychodka”... - niech oni tam sobie mnie szukają! Jak przyszła burza, poszedłem do stajni i wlałem do koryta. A oni mnie szukali...

Od czasu do czasu w naszym Zawadiace odzywała się dusza kaznodziei i proroka zarazem, która - nota bene - nie opuszcza go do dziś dnia.

Pamiętam, jak raz komendant aresztował i zamknął do piwnicy Litwinę czy Polkę, taką Drelińską. Ona jedzenie nam przynosiła. Mogła przynosić, sprzedawać, ale komendant chciał wiedzieć ile, co i czego, ile pieniędzy wydajemy, bo czasami rewizję Gestapo robiło. Ja żem poszedł i opowiadam mu przypowieść z Pisma św., ze Starego Testamentu: „Bogacz był, wszystkiego miał; a taki biedny człowiek miał tylko jedną owieczkę i gdy ten bogacz chciał ucztę zrobić, to nie swoją owcę zabił, ale temu biedakowi zabrał”. A komendant: „Ja bym go zaraz w mordę rąbnął”. To ja mówię: „Tyś to samo zrobił, naszą żywicielkę zamknąłeś do piwnicy” - jak on struchlał, jaki błądy się zrobił! Klucz zaraz wziął, otworzył piwnicę: „Wychodzić!” Tylko to ja mu powiedziałem! Gdyby kto inny gadał, to on by nie słuchał, ale ja mu

powiedziałem: „Naszą żywicielkę tyś zamkną! Tyś gorszy od tamtego jeszcze jest!” - i to posłuchał. Takich przygód to było tam dużo!

A raz mnie zawołał: „»Sympatia«, sześć kaczek zabić ... nie, osiem kaczek zabić!” To ja za stodołą tym kaczkom tby poucinał, i giry, i skrzydła, i na takim drucie zbrojeniowym palenisko zrobiłem. Opaliłem i wypatroszyłem je po swojemu. Zaniosem do kuchni i wrzuciłem do wiadra. A karmelita, o. Serafin, mówi:

- Dali ci osiem?

- Tak, osiem.

- A tu jest siedem!

- No to zgadza się; dali osiem, a tu jest siedem!

- A gdzie ta jedna?

- No właśnie, gdzie jest ta jedna?! - nie mógł się ze mną dogadać!

Potem zbiórka była i komendant pyta:

- Jak jest z tymi kaczkami? Poszukajcie »Sympatię«, niech się wytłumaczy.

Osiem kaczek dałem, osiem zabrał, a do kuchni przyniósł siedem!

Ja tak samo gadał:

- Tak, było osiem. Wszystkie żem opalił.

- Ale w kuchni jest siedem!

- No tak, w kuchni jest siedem, to się zgadza.

- Było osiem...

- Toć rozum nie działa - ja mówię - dali osiem, się zgadza - osiem, a teraz jest siedem, bo siedem przyniosłem, się zgadza!

- Miało być osiem!

- A my co? Za darmo będę pracował?

- No to zgadza się...

Jak mówi Ewangelia: Gwałtownicy zdobywają królestwo niebieskie. Wygląda na to, że br. Sobkowiak SJ cytat ten „wysłał z mlekiem matki”. Ale wie zarazem, że świat zawojować można jedynie radosnym miłowaniem.

Było ciężko, ale jak tam jeden drugiego szanował! Tam nikt nie dokuczył. Ci kanonicy, prałaci, każdy był grzeczny, z uśmiechem.

Filozofia br. Sobkowiaka SJ jest zadziwiająco prosta a jednocześnie na wskroś Chrystusowa:

Jak człowiek człowieka uśmiechniętego zobaczy - inaczej się żyje. Smutny święty, to co to za święty? Taki święty, jak smutny chodzi po ziemi, to nie wysłucha w niebie... Trzeba z każdym stworzeniem pogadać, żeby każdy był uśmiechnięty, zadowolony z życia. Nawet na drzewo popatrzeć, to inaczej rodzi!

RUMUŃSKIE MIGAWKI

Po upadku dyktatorskich rządów Nicolae Ceausescu w grudniu 1989 r., w Rumunii zmieniły się warunki społeczne i polityczne, otworzyły się nieznane dotąd perspektywy rozwoju chrześcijaństwa, Kościoła. Do tej pionierskiej pracy włączyło się także Towarzystwo Jezusowe. Dwa lata temu, Ojciec Generał Peter-Hans Kolvenbach SJ zwrócił się do Prowincjałów z prośbą o pomoc, aby wysłali chętnych do pracy w Rumunii. Jednym z tych, którzy odpowiedzieli na ten apel był o. Tadeusz Rostworowski SJ, do niedawna duchowny scholastyków i wykładowca na Wydziale Filozoficznym Towarzystwa Jezusowego w Krakowie. Do Rumunii wyjechał on w sierpniu 1992 r. Poniżej zamieszczamy wywiad z o. Tadeuszem, który podzielił się z nami swymi obserwacjami z rocznego pobytu w Rumunii.

Nasze Wiadomości: *Ponad trzy lata temu upadł dyktatorski rząd Ceausescu. Nastąpiła wolność słowa, powstały nowe partie polityczne. O tym wiemy ze środków przekazu, a jak faktycznie z bliska wygląda Rumunia?*

O. Tadeusz Rostworowski SJ: Aby zrozumieć aktualną sytuację w Rumunii, trzeba nieco popatrzeć na historię. Historia Rumunii po drugiej wojnie światowej przypomina historię Polski. Historię rumuńską w ostatnim czterdziestoleciu można podzielić na trzy etapy.

Pierwszy etap trwał od zakończenia wojny do roku 1948. Komunizm wszedł już wtedy, ale jeszcze się nie rozwinął, nie zaczął być systemem dominującym i podporządkowującym wszystko sobie. Istniała wówczas względna wolność polityczna i religijna.

Drugi okres trwał od 1948 r. aż do 1989. W końcu 1948 r. nastąpiła przemiana w kierunku dyktatury komunistycznej. Zaczęto siłą uwłaszczać chłopów, zlikwidowano wszelką wolność słowa, prześladowano kościół katolicki, a zwłaszcza grekokatolików (katolików rytu wschodniego).

Trzeci okres trwa od 1989 r., kiedy nastąpiła rewolucja (tzw. Rewolucja Grudniowa), na mocy której został obalony reżim Ceausescu i wprowadzono nowy rząd. Wiązano z nim ogromne nadzieje, jako że mienił się rządem Frontu Ocalenia Narodowego. Jednak z biegiem czasu coraz bardziej okazywało się, że nastąpiła wymiana ekipy, a nie wymiana systemu. Nowy rząd na zewnątrz pokazywał nastawienie demokratycznie - liberalne czy wolnościowe, niemniej dalej tkwił w starych komunistycznych strukturach. Mimo wszystko jednak Rumunia staje się krajem przechodzącym (tak jak Polska) w kierunku demokracji rozumianej jako liberalizacja handlu,



O. General z jezuitami rumuńskimi

w kierunku dominacji ludzi, którzy mają siłę pieniądza, mają wpływy. Tak wygląda ogólny trend przemian społeczno - politycznych obecnie w Rumunii. NW: *Czy można zaobserwować coś charakterystycznego dla Rumunii, co różni ją np. od Polski?*

o. Rostworowski: Przede wszystkim Rumunia uderza ogromnym nacjonalizmem. Szczególnie widać to na przykładzie swoistego kultu dla flagi rumuńskiej, która wisi wszędzie: na szkołach, gmachach publicznych itp. Panuje pewne przekonanie, jakoby Rumunia była krajem szczególnie wybranym. Z drugiej strony inna skrajność. W środowiskach naukowych, studenckich zauważa się ogromny pesymizm, brak nadziei na przyszłość. Panuje poczucie, że w tym kraju nic nie można zrobić, a nędza nigdy nie minie. Równocześnie widać starcie sił kulturowych, które są opozycyjne w stosunku do rządu i jawnie go krytykują. Celuje w tym prasa, gdyż telewizja dalej pozostaje w rękach ekipy rządzącej. Gazety są bardziej niezależne, nie ma cenzury i wychodzi ich mnóstwo.

NW: *Jakie są opcje i siły polityczne? Czy można rozgraniczyć partie, stanowiska?*

o. Rostworowski: Mówiąc o opozycji należy przede wszystkim wymienić Partię Chłopską (chrześcijańscy demokraci). Grupuje ona ludzi, którzy najbardziej cierpieli i walczyli o nowe oblicze Rumunii. W jej szeregach znajduje się wielu chrześcijan, zarówno prawosławnych, jak i katolików. Poza tym w opozycję wchodzi taka partia, która jest bardziej ruchem niż partią

i nazywa się Unią Cywilną. Gromadzi ona wielu różnych ludzi o poglądach zróżnicowanych, chociaż łączy ich chęć wyzwolenia się z komunizmu, wprowadzenie autentycznych demokratycznych przemian. Jest też blok tzw. partii liberalnych. Występuje także cała gama partii nacjonalistycznych, np. Romania More, które wyrosły z komunizmu i nacjonalizmu, i próbują oba te nurty afirmować. W ramach partii nacjonalistycznych znajduje się ugrupowanie złożone z dawnych członków *Securitate* (tajna policja). W Cluj, gdzie mieszkam, burmistrz miasta wywodzi się właśnie z tej partii i bardzo walczy z Węgry. Poza tym jest cały Liberalny Front Jedności Wyzwolenia Narodowego, który podzielił się na dwie frakcje: jedną jest ta mająca władzę i korzenie w dawnym systemie, a druga jest bardziej liberalno - masońska. Ponadto istnieją partie o całkowicie komunistycznym rodowodzie.

NW: *Jak Ojciec ocenia to przechodzenie społeczeństwa w nową formę polityczną, gospodarczą? Czy to jest związane z takimi samymi negatywnymi przejawami, jakie obserwujemy w Polsce (np. sfera moralności)?*

o. Rostworowski: W związku z otwarciem tego kraju na Zachód, z pragnieniem wyzwolenia się z tego układu, który był, wydaje mi się, że trzeba wyróżnić dwie strony tych zmian. Z jednej strony występują pozytywne: wolność słowa, ludzie nie boją się mówić, piszą. Równocześnie dzięki tym przemianom możemy istnieć my, jezuici, chociaż nie mamy osobowości prawnej. Ponadto zmiany korzystnie wpłynęły na pewien rozwój ekonomiczny, który w jakimś sensie dokonuje się. Gdy chodzi o negatywy, to wydaje się, że główną zdobyczą tzw. Rewolucji Grudniowej jest wprowadzenie aborcji. Wyglądało to bardzo tragicznie. Kobiety stały w kolejkach, jakby po chleb. Zabito ponad 3 mln dzieci nienarodzonych. Z drugiej strony wchodzi krwiożerczy kapitalizm. Nie ma pełnego rozwoju kraju. Poza tym mocno widać pornografię, zwłaszcza w telewizji i prasie. U młodych obserwuje się modę na naśladowanie zachowań zachodnich. Przybyło wiele sekt religijnych. Ponadto oficjalnie się mówi o odnowieniu masonerii w Rumunii.

NW: *Jak przedstawia się sytuacja pod względem religijnym w Rumunii? Ilu jest katolików?*

o. Rostworowski: Według powszechnego spisu ludności z 1991 roku (są to dane oficjalne) 86% ludności to prawosławni, 5% katolicy rzymscy, 3% kalwini, po 1% grekokatolicy i protestanci oraz jedenaście innych wyznań, których liczba nie przekracza kilku procent. Prawdopodobnie zaniżona jest liczba grekokatolików ze względu na to, że w 1948 r. było ich 2,5 mln. W ogóle, wg oficjalnych danych jest ponad 90% wierzących w społeczeństwie, co wydaje się nieprawdziwym. Np. wielu ludzi, którzy zostali policzeni jako wyznawcy prawosławia, nie wie nic o swej wierze, albo bardzo mało.

NW: *Jak zatem Kościół odnajduje się w tej całej mozaice społecznej?*

o. Rostworowski: Trzeba zacząć od tego, że Kościół katolicki jest absolutną mniejszością i żyje w diasporze. Poza tym Kościół katolicki jest zróżnicowany pod względem narodowościowym i pod względem rytów. Panuje taki slogan, że prawosławni są Rumunami, a Węgrzy katolikami. Gdy chodzi o rytę, to są dwa: rzymskokatolicki i grekokatolicki.

NW: *Czy prawosławie, które jest większością, ma realny wpływ na społeczeństwo?*

o. Rostworowski: Niewątpliwie. Cerkiew prawosławna jest siłą dominującą, ma ona jednak działanie pozytywne i negatywne. Pozytywne w tym znaczeniu, że tworzy kulturę, stanowi o identyfikacji tego kraju. Związani są z nim literaci, różni twórcy. Niesie w sobie pewien kult ducha. Ma jednak też działanie negatywne. Prawosławie rozwinęło liturgię, a nie rozwinęło katechezy. Nie ma oddziaływania, nie ma pewnych elementów twórczych, dynamicznych.

NW: *Jak wygląda w całym tym krajobrazie Kościół katolicki. Co można powiedzieć o jego działalności?*

o. Rostworowski: Kościół katolicki nie jest liczny, ale jest bardzo mocny. U grekokatolików, którzy zostali sprowadzeni do podziemia, wielu ludzi zrozumiało, że nie mogą działać publicznie i wyznawać wiary, ale mogą oddziaływać w inny sposób. Mogą oddziaływać przez swoje wykształcenie, wysokie stanowiska, przez rozwijanie kultury. I rzeczywiście, wielu grekokatolików doszło do stanowisk, np. dyrektorów szpitali, lekarzy, adwokatów, wykładowców. Poprzez to stanowią oni zagrożenie dla Cerkwi prawosławnej, która tak to odbiera. Np. poprzedni minister oświaty był grekokatolikiem. Natomiast Kościół rzymskokatolicki ma prężność przejawiającą się w katechezie, w pewnej organizacji, powstają pisma młodzieżowe. Pisma mają skromny zasięg, ale najważniejsze, że w ogóle wychodzą.

NW: *Czy grekokatolicy mogą oficjalnie funkcjonować?*

o. Rostworowski: Mogą od rewolucji 1989 r. Jednak i dzisiaj dochodzi do dziwnych paradoksów. W 1948 r. zabrano im wszystkie kościoły i przekazano Cerkwi prawosławnej. Otóż obecnie np. w Cluj całą liturgię grekokatolicy odprawiają na głównym placu miasta.

NW: *Jaką rolę pełnią w Rumunii jezuita? Może nieco historii na ten temat.*

o. Rostworowski: Jezuita po raz pierwszy przybyli na teren dzisiejszej Rumunii zaproszeni przez późniejszego króla polskiego - Stefana Batorego. Sprowadził on jezuitów do Transylwanii i zakon zaczął mocno oddziaływać. Założyli kolegium, które potem przekształciło się w uniwersytet. Głosili misję i przyczynili się do powrotu na łono Rzymu wielu kalwińskich miejscowości. Główną ich siedzibą było Cluj. Następnie działali w Oradia i Satumare, by w końcu dotrzeć do Jass w Mołdawii. Takie były początki. Jednak te początki okazały się ważne, gdyż to dzięki nim zakon mocno zapisał się w świadomości

ci ludzi. Jednocześnie jezuici odegrali dużą rolę przy powstaniu Kościoła grekokatolickiego, który powstał w 1700 r. w wyniku unii z Rzymem. Jezuici byli tymi, którzy czuwali nad tą unią, rozwojem i formacją tego Kościoła. W związku z tym jesteśmy bardzo przychylnie widziani przez grekokatolików. Nota bene nasz prowincjał jest grekokatolikiem. W ogóle rola Towarzystwa w Rumunii jest wielka, bo my możemy służyć tam jako ten zwornik, podprowadzać do jedności tych, którzy są podzieleni między sobą. Obecny stan jezuitów w Rumunii wynosi 18-tu ludzi (12 Rumunów, 6 obcokrajowców). W tej szóstce znajdują się: Maltańczyk, Włoch, Hiszpan, Belg, Austriak i Polak. Tworzymy zatem wspólną międzynarodową. Wśród Rumunów jest dwóch ojców, czterech braci, czterech nowicjuszy i jeden scholastyk studiujący obecnie filozofię w Padwie.

NW: Jakie prace wykonują jezuici w Rumunii?

o. Rostworowski: Śmiałem się w grudniu będąc w Polsce, że tych kilkunastu jezuitów robi więcej niż stu franciszkanów, którzy są tam mocni.

NW: *Ojciec prowincjał wykorzystywał to w homiliach mówionych do nas.*

o. Rostworowski: Nasza praca idzie w kierunku dawania rekolekcji, zwłaszcza młodym. Jeden z ojców, Austriak, zajmuje się dziećmi ulic. Ojciec Puni SJ - prowincjał założył międzynarodową organizację lekarzy. Mamy ponadto opiekę nad siostrami zakonnymi. Naszym zadaniem będzie też praca naukowa, czyli wejście do seminarium duchownego. Ja na przykład mam wykladać w seminarium w Jassach filozofię.

NW: *Czyli to samo co w Krakowie tyle, że po rumuńsku.*

o. Rostworowski: Ponadto biskup prosił nas o zajęcie się środkami audio-wizualnymi, ale niestety brakuje ludzi. Powołań w Rumunii jest dużo. Jednak aby przygotować Rumunów do pełnej pracy potrzeba 10-15 lat. Prowincja Rumuńska będzie mogła stanąć na nogi dopiero gdzieś po 10 latach.

NW: *Dziękujemy Ojcu serdecznie za rozmowę.*

Kraków, maj 1993

Rozmawiali: Robert Danieluk SJ i Grzegorz Jankowski SJ. Opr. Waldemar Aramowicz SJ

MINISTRANCI I SCHOLA - MŁODZI MISJONARZE W KRAJU, GDZIE MOŻNA TERAZ WIERZYĆ

W tym roku podczas ferii zimowych o. Stanisław Pacholik SJ przebywał wraz z ministrantami i scholą na Białorusi. Tym, co tam zobaczył i przeżył, pragnie podzielić się także z nami.

Nasze kontakty z Białorusią rozpoczęły się latem zeszłego roku, kiedy na rekolekcje do Kobrynia k/Słupska przyjechała grupa młodzieży z Indury i Grodna. W czasie zimowych ferii pojechaliśmy 25 osobową grupą z parafii p.w. Świętego Andrzeja Boboli w Warszawie, do Rakowa.

Przywieźliśmy ze sobą zimę. Autokar wiozący nas z Mińska do Rakowa musiał zatrzymywać się kilkakrotnie, gdyż szalała śnieżycą.

Po białoruskich drogach jeżdżą przede wszystkim ciężkie samochody - osobowych pojazdów ... mało. Stolica niedawnej republiki, a obecnie kraju, przyozdobiona jest wielkim pomnikiem wodza rewolucji. Główna nazwa ulicy



zmieniła się. Obecnie Franciszek Skaryna jej patronuje, ale Lenin nadal ma oko na stolicę Białorusi. Miasto liczy obecnie ponad półtora miliona mieszkańców.

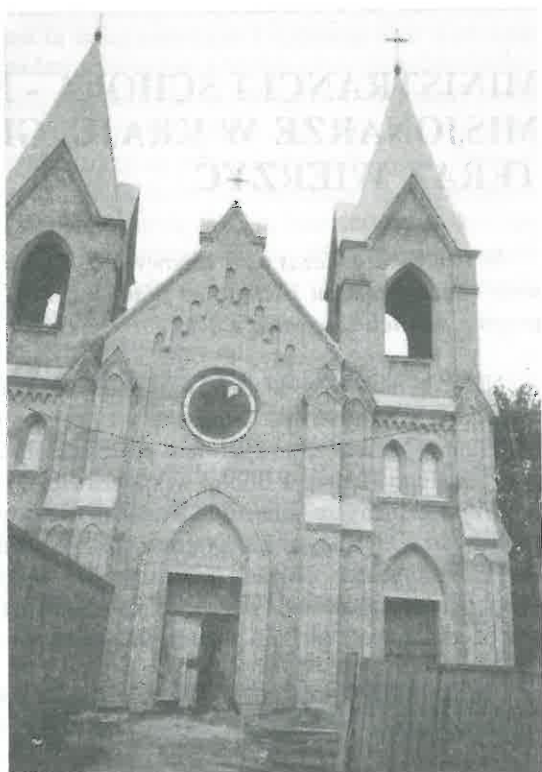
Wyjazd ten pozwolił nam zrozumieć sytuację Kościoła na Białorusi. Duchowieństwa jest mało. W samej tylko stolicy są tylko 4 katolickie kościoły i kilka cerkwi. Całościowa ich liczba nie przekracza dziesięciu świątyń.

W centrum Mińska stoi czerwony kościół. Nazwa nie jest związana bezpośrednio z mijającą epoką, ale z tym, że zbudowano go z czerwonej cegły. Do niedawna można tu było przyjść na film, gdyż mieściło się w nim kino. W dawnym apartamencie dyrektora kina mieści się teraz centrum parafialne. Jest to miejsce wszelkich spotkań i pracy proboszcza.

Idąc dalej przez miasto, dochodzi się do młodzieżowego domu kultury, gdzie tańczy się, ćwiczy karate itp. Na drugim piętrze widać kościelne sztandary. W pięknej katedrze dobudowano kilka pięter. Na razie Kościołowi udało się odzyskać parter.

Dużo się mówi o religijnym przebudzeniu, coś z tego jest, ale najchętniej nazwałbym ową sytuację - „wolno teraz wierzyć”. Kraj ten czeka na ewangelizację. Starsi powiadają, że dla nich to niewiele da się zrobić, ale trzeba zatroszczyć się o przyszłość, o młodzież i dzieci.

Nasza parafialna grupa mieszkała w ośrodku sanatoryjnym niedaleko Rakowa. Na Mszę Świętą przychodzili najróżniejsi ludzie: lekarze, pielęgniarki, personel, kuracjusze, Białorusini i Polacy. Bardzo podobały się im pieśni,



Kościół w Rakowie - obecnie w remoncie

które śpiewaliśmy. Początkowo sprawowaliśmy liturgię na czwartym piętrze - w hallu, dopóki sam ordynator nie udostępnił nam specjalnej sali. Rozdaliśmy wiele pamiątek, dewocjonaliów, proporczyków itp. W sanatorium warunki były niezłe, a jedzenie swojskie (szybko przyzwyczailiśmy się do niego).

Przebywało tam kilka grup z Polski i dzieci z okolic Czarnobyli, które były początkowo nieufnie nastawione do nas, jednak wkrótce lody zostały przełamane i nawet chciały się z nami bawić i często prosiły nas o poczęstowanie ich słodyczami. Nauczyły się łatwo kilku polskich piosenek.

W samym Rakowie na wielu domach zawieszane są niewielkie krzyże. Na innych jednak widnieją nadal czerwone gwiazdki.

Oddany kościół jest w remoncie. Mszę Świątą w języku polskim sprawuje się w kaplicy cmentarnej.

Już na początku pobytu poznaliśmy panią Tatianę z radia białoruskiego, która wraz z córką wypoczywała w tymże ośrodku. Nagrała do jakiejś audycji kilkanaście pieśni religijnych śpiewanych przez naszą grupę. W krótkiej rozmowie zaprezentowaliśmy się jako grupa, skąd jesteśmy, jak u nas wygląda praca w parafii itp.

Za namową naszej redaktorki pojechaliśmy niemalże całą grupą do Wołożyna, aby tam odwiedzić dzieci - ofiary Czarnobyli. W Mińsku kupiliśmy dla nich cukierki. Sprzedawano tylko po półtora kilograma, więc trzeba było kupować kilka razy.

Dzieci te mieszkały w Domu Dziecka. W jednej z sal mieliśmy spotkanie. Zaszokował nas portret Lenina wiszący nad tablicą szkolną. Podczas rozmowy okazało się, że niektóre dzieci spędzały wakacje w Polsce, niedaleko Torunia.

Zaśpiewaliśmy kilka pieśni religijnych, rozdaliśmy słodycze, obrazki.

Część dzieci była prawosławnego wyznania, część zaś katolickiego.

Nagle do sali weszła jeszcze jedna grupa - to chór. Pięknie śpiewali na głosy, głośno i przejmująco. Następnie oprowadzono nas po warsztatach, pokazano pokoje. Tutaj dzieci przygotowują się do życia - majsterkują, gotują, szyją...

Na zakończenie otrzymaliśmy trzy pamiątki - prace wykonane w drewnie. Czuliśmy się trochę jak komisja partyjna zwiedzająca wzorcowy zakład. Wszyscy byli bardzo serdeczni, uczynni, mili, a przy tym autentyczni. Spotkanie dobiega końca. Jedna z dziewcząt dyskretnie podaje kartkę z adresem...

Zahaczamy o pięknie utrzymaną cerkiew. Dalej mijamy kościół położony na wzniesieniu służący dotąd jako magazyn, a na nieszczęście niedawno palił się.

Czekamy na autobus. Na pięć umieszczonych w rozkładzie jazdy przyjechał jeden.

Zainteresowanie katolicyzmem na Białorusi jest wielkie. Na przykład córka „naszej” wyżej wspomnianej redaktorki przygotowuje się do chrztu w Kościele katolickim, mimo że matka jest ochrzczona w Cerkwi prawosławnej. Katolicy są w szczególnie trudnej sytuacji: nie mają kościołów, a te odzyskane potrzebują remontu, na który trzeba mieć środki materialne. Kościół katolicki nie ma możliwości szerszego oddziaływania, nie ma swojego pisma, tym bardziej audycji radiowej czy telewizyjnej. Można by uczyć w szkołach religii, ale kto to ma robić?

W tym biednym kraju spotkaliśmy ludzi wspaniałych, serdecznych, otwartych, tolerancyjnych. Pobyt ten na zawsze pozostanie nam w pamięci.

Nasze ferie zimowe dobiegają końca. Wsiadamy ponownie do pociągu, w którym nie otwierają się okna i jedziemy do Brześcia, przejeżdżamy Bug...

O. Stanisław Pacholik SJ

TO JEST MOJE POWOŁANIE

Dnia 12 stycznia br. w Kolegium krakowskim spotkał się ze scholastykami o. Stanisław Pomykała SJ pracujący obecnie w Nowosybirsku. Przedstawiamy tutaj relację z tego spotkania.



Dlaczego Rosja?

O. Stanisław marzył już od 16 roku życia, że będzie pracował w Rosji. Gdy był w liceum, uczył się języka rosyjskiego z zamiłowaniem do niego. A w latach 60-tych taka postawa była oznaką braku patriotyzmu. Oczywiście po skończeniu liceum o. Stanisław nauki języka nie kontynuował i przez to wiele zapomniał z tego, czego się nauczył. Ale marzenie pozostało. I oto, gdy był na filozofii, w 1970 roku, jego ojciec uświadomił mu jego powołanie. Były to lata rozkwitu komunizmu, czasy Gromyki. A jego tata martwił się: „Widzisz, Stasiu, co się dzieje na świecie. Ta komuna to pożre wszystko”. O. Stanisław w ogóle zapomniał o tym, co mówił wówczas jego ojciec. A on sam wyjechał do Rzymu, do pracy w Radiu Watykańskim. Jak wspomina, była to wielka łaska Boża. Wszystkie swoje chęci i inwencje oddawał radiu. Ale po pewnym czasie czuł się już tą pracą nasycony. Pięć razy prosił przełożonych o to, aby mógł wyjechać do Związku Radzieckiego, ale zawsze mu odmawiano. I oto w 1989 roku przyjeżdża do Polski i odwiedza ojca. Gdy oglądają razem telewizję, ojciec mówi: „Patrz, co się wyrabia w tym Związku Radzieckim. Patrz, ta komuna się kończy. Pamiętasz naszą rozmowę sprzed lat? Może ty tam pojedziesz?” I wtedy o. Stanisław zrozumiał, czego szukał. I w samolocie na drugi dzień po wizycie w domu rodzinnym, lecąc do Rzymu, dowiaduje się, że o. Generał chce się z nim spotkać w związku z wyjazdem do Związku Radzieckiego. Zatem napisał do o. Prowincjała i otrzymał zgodę na wyjazd.

Sytuacja polityczna

Jak przyjechał, to był jeszcze Związek Radziecki, jeszcze obowiązywało milczenie na pewne tematy, ludzie nie chcieli się przyznawać do tego, że byli prześladowani. Szczególnie w latach trzydziestych. Są takie miejscowości,

gdzie wszystkich mężczyzn w tym okresie zabito. O. Stanisław rozmawiał z kobietą, której jednej nocy zabrali męża, braci i ojca.

Jeśli chodzi o KPZR, to została rozwiązana, ale powstały nowe partie komunistyczne. Jest też partia białych.

W Nowosybirsku większość ludzi to przesiedleńcy. Tam jednak ludzie są bardziej wolni i niezależni w swoim myśleniu niż np. w Moskwie. Dlaczego? Oni odpowiadają: „Jeżeli jesteś już na Syberii, to gdzie cię zesła? Na Alaskę?” Syberia jest silna intelektualnie, bo tam przecież zsyłano inteligencję. Ta mieszanka różnych narodowości mieszkających na tym terytorium wydała już wiele intelektualnych owoców. Sama Rewolucja Październikowa to był ogromny i koszmarne eksperyment, z jakim ludzkość nigdy nie miała jeszcze do czynienia. Tam, w Rosji, ten komunizm jeszcze się nie skończył. W Polsce widać już, że to koniec komunizmu. A tam, w Rosji ludzie nadal są w nim - i to jest koszmarnie! Swoje macki rozszerza mafia. We wszystkich systemach, gdzie oficjalne systemy państwowe nie były przyjmowane przez społeczeństwo, np. we Włoszech, istnieje mafia. Mafia jest faktem! I trudno ją teraz usunąć!

Sytuacja Kościoła

W Rosji po Rewolucji nie było normalnych struktur kościelnych (często chrztu udzielały stare kobiety). Wiadomo, że jeśli żyje się w podziemiu, to z biegiem czasu to podziemie długo się nie ostoi. Teraz wszystko się budzi.

Jeśli chodzi o kapłanów - była w lutym delegacja kapłanów z Rosji w Rzymie (w jej skład wchodził także o. Stanisław) i chodziła do generałów różnych zakonów i prosiła o kapłanów na misje do Rosji. Dzięki tej akcji do Rosji wyjechało dwóch kanoników regularnych ze Stanów Zjednoczonych, jeden ksiądz z Irlandii, dwóch Niemców, trzech Polaków; jezuitów obecnie pracuje sześciu, w tym jeden Kanadyjczyk, trzech z Polski. Zgłaszają się także księża diecezjalni do pracy - sami!

W samej Rosji są też kandydaci do kapłaństwa i zakonu. Nie mieli oni możliwości normalnego życia religijnego, dla nich będzie zorganizowany rodzaj proseminarium, dwuletniego nowicjatu, gdzie mogliby z jednej strony pogłębić swoje życie religijne, z drugiej strony uczyć się łaciny... Potem zależnie od tego, gdzie im będzie bliżej, będą wysyłani do Moskwy czy do Rzymu... W tej chwili jest takich kandydatów czteremastu.

To, co jest trudne dla przyjeżdżających księży, mianowicie, że chcą bazować na swoich poprzednich doświadczeniach duszpasterskich. A tu się tak nie da! Trzeba budować wspólnoty! Obojętnie, jakiego typu. Takie wspólnoty bardzo dobrze funkcjonują. Te zaś opierane tylko na informacji, katechizacji szkolnej, kończą się na niczym. Roboty jest tyle, że nie wiadomo,

w co ręce włożyć. Początkowo brakowało wszystkiego. Trzeba było na wszystkim oszczędzać.

Jeśli chodzi o religijność Rosjan, to jest ona bardzo słaba. Miesza się ona z magią, czarną i białą, teozofią i teologią. Widać lęk przed nieznanym. Ale jak już spotkają się z możliwością słuchania Słowa Bożego, to reakcje są bardzo żywiołowe i silne. Tylko trzeba im stworzyć dobre warunki do tego.

Dla Rosjan bardzo ważna jest liturgia. Rosjanie są bardzo wrażliwi na piękno. Stąd rosyjskie porzekadło: „Krasota spasit mir”, czyli „Piękno zbawi świat”. Dla nich bardzo ważny jest symbol, język, muzyka, kolor. Ważnym byłoby wejść w zdrowe kontakty z Rosyjską Cerkwią Prawosławną. Pomóc jej odnowić się. Na razie jest wiele nieporozumień, lęków o wpływy, o władzę. Katolicy nie znają prawosławia, a prawosławni nie znają katolicyzmu. Jest dużo uprzedzeń, dużo ciemnoty religijnej. Sami katolicy nie wiedzą, co to jest Sobór Watykański II albo wiedzą o nim bardzo mało. Wielu księży boi się odprawiać Mszę św. twarzą do ludzi. Trzeba jednak ich zrozumieć - żyli przecież w izolacji od Kościoła Powszechnego tyle lat.

W Rosji mnoży się obecnie ilość sekt przybywających z Zachodu, do których garną się ludzie, poszukując sensu i prawdy w życiu. Istnieją także „rodzime” konfesje, np. staroobrzędowcy (odłączeni od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej z powodu nieprzjęcia reform patriarchy Nikona w XVII wieku) - o. Stanisław zauważa, że są to ludzie bardzo uczciwi, sumienni, słowni i wiele wymagający od siebie, przez co z pewnością świecą przykładem w komunistycznym państwie. Nie oglądają telewizji, nie korzystają ze zdobyczy techniki, przed przyjęciem Komunii świętej tak poszczą, że trzeba ich prowadzić do świątyni.

Centrum duchowości

W zeszłym roku (przez cały kwiecień i maj) o. Stanisław prowadził wykłady na temat: „Pedagogika i duchowość” na katedrze psychologii. Wcześniej nie zajmował się specjalnie pedagogiką. Stąd na wykładach wykorzystywał doświadczenie nabyte na Trzeciej Probacji, w Radiu Watykańskim i z osobistych przeżyć. Słuchaczom się te wykłady spodobały i poprosili, aby je przedłużyć. Gdy przyjechał do Nowosybirsk o. Steczek SJ, padło takie hasło (pół żartem, pół serio): „Trzeba się wziąć do roboty”. I tak rozpoczęły się dalsze wykłady, a także seminarium dla wykładowców (12 osób). Byli to psychologowie, profesorowie literatury, języka rosyjskiego. Chcieli się bliżej zapoznać z duchowością ignacjańską, z teologią. Dlatego poprosili o. Stanisława o seminarium dla nich. Po pewnym czasie zrodziła się myśl, żeby mieć takie miejsce, gdzie można się spotykać, mieć podręczną bibliotekę, i jakąś salę. I taka sala została urządzona: kupiono meble, niedługo

będzie telewizor, video, komputer. Są też książki z Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy (otrzymane gratis). I tak zaczęło działać centrum duchowości.

W tej grupie profesorów jest między innymi jedna prawosławna, jedna ochrzczona, ale nie wie, dlaczego jest ochrzczona, jeden Żyd, jedna kobieta zajmująca się magią. Jak się dyskutuje w środowisku katolickim, to wszystko przebiega normalnie, naturalnie. A tu się jest mniejszością! I wcale to, co się mówi, nie jest takie ewidentne! O. Stanisław mówi: „Tam powiesz: »Bóg«, a oni: »Co to jest Bóg?«, »Wiara«, a oni: »Co to jest wiara?«, »Kościół«, »A co to jest Kościół?«”. I w ten sposób człowiek sam się sprawdza, czy wierzy i na ile wierzy w to, co głosi. „Być może, że to oni czasami więcej mi pomagają w drodze do Boga niż ja im. Ja nigdy się tak nie modliłem, jak tam. Nigdy tak nie potrzebowałem się modlić, jak tam” - dzieli się takim spostrzeżeniem o. Stanisław.

Perspektywy

„W tej chwili czuję się, jak Ruski polskiego pochodzenia. Oczywiście, jest to inna ziemia, ale nigdy nie miałem takiej chęci, żeby wrócić, żeby przyjechać z powrotem. Uważam, że jest to moje powołanie.”

Gdy w zeszłym roku był w Rzymie, powiedział Papieżowi, że w Rosji, ale nie w części europejskiej, lecz właśnie w części syberyjskiej, będzie się rodzić nowe człowieczeństwo, nowy Kościół. Gdy to powiedział, Ojciec Święty spojrział na niego „spode łba”, a potem powiedział: „Może i macie rację”.

Ta syberyjska ziemia była uważana za przeklętą. Jednak Bóg z tej przeklętej ziemi zbiera to, co słabe, niezdarne, aby ją podnieść.

„I Bóg mnie tam posłał, abym pomógł jej się podźwignąć. Ja ten proces »podźwignania« widzę. To się dzieje na moich oczach. To jest po prostu łaska”.

Opr. Marek Blaza SJ

WIADOMOŚCI



KANADA - Na ekranach kin pojawił się kanadyjski film o jezuitach pt. *Czarna suknia* (reż. Bruce Beresford). Scenariusz filmu oparty jest na noweli Briana Moore'a napisanej pod wpływem *Relationes*, listów naszych misjonarzy (nazywanych w języku potocznym Indian - Czarne Suknie) z terenów Quebec (dzisiejsza Kanada), dawniej tzw. „Nowa Francja”, adresowanych do swoich przełożonych we Francji. Film stał się wydarzeniem w czasie Festiwalu Filmowego w Montrealu w 1992 r.

MOSKWA - Na początku grudnia 1992 r. w cotygodniowym programie telewizji rosyjskiej *Panorama międzynarodowa* (program I) była mowa m. in. o Towarzystwie Jezusowym. Po latach komunistycznej propagandy, nadany program być może przyczyni się do przewyciężenia uprzedzeń i negatywnych opinii o jezuitach w Rosji.

ŁÓDŹ - O. General Peter-Hans Kolvenbach SJ zatwierdził plan opuszczenia przez jezuitów rezydencji i kościoła przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie w Łodzi. Towarzystwo Jezusowe ma jeszcze w tym mieście drugą placówkę przy ul. Sienkiewicza.

POZNAŃ - 10 grudnia 1992 r. przy naszym kościele w Poznaniu pod patronatem Ośrodka Kultury Chrześcijańskiej i Związku Polskich Artystów Plastyków otwarta została *GALERIA U Jezuitów*.

RZYM - 13 grudnia 1992 r. minęła 50 rocznica śmierci o. Włodzimierza Ledóchowskiego SJ, XXVI Przełożonego Generalnego Towarzystwa Jezusowego w latach 1915-1942. O. Ledóchowski SJ uważany jest za jednego z najwybitniejszych generałów Towarzystwa i stawia się go obok o. Klaudiu-

sza Aquavivy SJ i o. Jana Roothana SJ. Był to zarazem drugi w dziejach zakonu generał-Polak.

RZYM - 21 grudnia 1992 r. w obecności Ojca Świętego Jana Pawła II ogłoszono dekret o heroicznosci cnót o. Jana Beyzyma SJ. Ojciec Jan urodził się 5 maja 1850 r. i zmarł w opinii świętości w Marana na Madagaskarze 2 października 1912 r. Zastąpił jako opiekun trędowatych.

GDYNIA - 24 grudnia 1992 r. po raz pierwszy została odprawiona Msza św. w nowo wybudowanym kościele pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Gdyni. W Poniedziałek Wielkanocny - 12 kwietnia 1993 r. poświęcenia kościoła dokonał ks. abp Tadeusz Gocłowski.

RZYM - Według najnowszych statystyk z dnia 1 stycznia 1993 r. liczba członków Towarzystwa Jezusowego wynosiła 23 466. W Polsce, Prowincja Południowa liczyła 380 jezuitów, natomiast Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka 329.

SŁOWACJA - 10 stycznia 1993 r. w miejscowości Prešov na Słowacji otwarty został pierwszy jezuicki Dom Rekolekcyjny, w którym czterech ojców będzie udzielać Ćwiczeń Duchownych.

KRAKÓW - 8 marca 1993 r. podczas Mszy św. w Bazylice Najświętszego Serca Jezusowego o. Prowincjał Mieczysław Kozuch SJ ustanowił w posłudze akolitatu 24 scholastyków III roku filozofii, a w posłudze lektoratu 26 scholastyków II roku.

WARSZAWA - 8 kwietnia 1993 r., Mszy Wieczerzy Pańskiej w Wielki Czwartek, w Sanktuarium św. Andrzeja Boboli na ul. Rakowieckiej przewodniczył Nuncjusz Apostolski Abp Józef Kowalczyk. We Mszy św. uczestniczyła także pani premier Hanna Suchocka.

Opr. Waldemar Aramowicz SJ

+
+
++++
+
+
+
+

NASI ZMARLI

- o. Tadeusz Andersohn SJ (Gdynia), 82 lata, w zakonie 62 lata;
- o. Mieczysław Bednarz SJ (Kraków), 76 lat, w zakonie 60 lat;
- o. Mieczysław Figarski SJ (Zakopane), 76 lat, w zakonie 61 lat;
 - o. Julian Haniszewski SJ (Kłodzko), 77 lat, w zakonie 61 lat;
- br. Władysław Jasiocki SJ (Warszawa), 87 lat, w zakonie 58 lat;
- o. Franciszek Koralewski SJ (Gdańsk), 82 lata, w zakonie 66 lat;
 - o. Józef Matuszak SJ (Święta Lipka), 55 lat, w zakonie 33 lata;
- o. Mieczysław Oleksy SJ (Nowy Sącz), 83 lata, w zakonie 68 lat.

REQUIESCANT IN PACE

NOWOŚCI WYDAWNICZE WAM

Carlo Maria Martini - *Kobieta wśród swego ludu*, przekł. Stanisław Obirek SJ, 1993, s. 128.

Pozycja ta zawiera medytacje kardynała arcybiskupa Mediolanu. Kardynał Martini nie czyni w nich niczego poza przypatrywaniem się w świetle obrazów ewangelicznych, niektórym postaciom kobiecym, rozumianym jako tło lub przeciwieństwo Maryi. Autor - wybitny współczesny teolog - ogranicza się do podania punktów i wskazania dróg do osobistej refleksji, do podzielenia się niektórymi spostrzeżeniami jakie budzą w nim pewne fragmenty Ewangelii dotyczące kobiet.

Książka ta może być użyteczna dla każdego chrześcijanina, poszukującego Bożej drogi i Bożego życia. Arcybiskup Mediolanu w sugestywny i oryginalny sposób wskazuje miejsce wiary w kontekście codziennych spraw, odnosząc wszystko, co przeżywamy do tej jedynej Rzeczywistości, od Której wszystko pochodzi i do Której wszystko zmierza.

Anthony de Mello SJ - *Kontakt z Bogiem*, przekł. Bogusław Steczek SJ, 1993, s. 303.

Kontakt z Bogiem - kolejna książka Anthony'ego de Mello, autora cieszącego się niezwykłą popularnością wśród czytelników. Pozycja ta zawiera konferencje rekolekcyjne. Jest to pośmiertne dzieło ojca de Mello, które sam pieczołowicie zredagował i przygotował. Przedmiotem konferencji są trzy klasyczne, podstawowe tematy: modlitwa, pokuta oraz miłość Chrystusa. W pięknej literackiej formie zaprasza czytelnika, by podzielił jego doświadczenie modlitwy, zadumy i refleksji nad Chrystusową Ewangelią: „Musimy głęboko zakorzenie się w Bogu, jeśli chcemy pozostać na tej samej fali, co twórczy Duch mieszkający w naszym sercu, jeśli chcemy odznaczać się zdolnością kochania i pozostać wiernymi Kościołowi...”

Wcześniejsze pozycje tego autora wydane przez WAM to: *Minuta mądrości*, *U źródeł*, *Modlitwa żaby*.